Nr 46 (1556) Warszawa, 12 listopada 1910 r. Rok XXX

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Broń obosieczna.

Trudno wyobrazić sobie metodę gorszą z punktu wiezenia polskich interesów, jak owa polityka „silnej pięści", którą szermuje od kilku lat stronnictwo „demokracji" narodowej, a którą znowu stosować zamierza na tle projektowanego u nas samorządu.

Jak wiadomo, d. 28 października w Komisji Spraw Krajowych przy Tow. Pracy Społecznej wypowiedziano się w sensie potrzeby ograniczeń prawnych ludności żydowskiej w samorządzie miast naszych. Zauważyć należy, że wspomniana komisja jest nową próbą falsyfikacji opinji krajowej na gruzach t. zw. Delegacji Obywatelskiej, której samozwańczy żywot trwał dwa lata.

Wyniki głosowania w Komisji Spraw Krajowych wywarły wrażenie, którego dodatnim nazwać niepodobna, zaś organ postępowców rosyjskich *Riecz* ze zrozumiałą goryczą wytknął Polakom „podwójną buchalterję"... W kilka dni potym warszawskie *Słowo*, organ stronnictwa, patronującego rzeczonej Komisji, uznało za potrzebne ogłosić, że „zasada ograniczeń i godzenie się na nią byłoby sprzeczne i z polską tradycją polityczną i z ogólnymi warunkami obrony politycznej i z programem Stronnictwa (Polityki Realnej), opartym na zasadzie równouprawnienia..."

W enucjacji *Słowa* nazbyt jest wiele przejrzystych zastrzeżeń obok wymuszonych i sztucznych afirmacji, byśmy mieli przykładać do niej zasadniczą wagę.

Tym nie mniej faktem jest, że Komisja Spraw Krajowych niechcący i wbrew woli przyczyniła się do rozproszenia różnych miazmatów, trujących naszą atmosferę.

Tedy ustalić należy przedewszystkim, że metoda ograniczeń ma za sobą jedynie i wyłącznie żywioły zdecydowanie *endeckie.*

Jakoż *Gazeta Warszawska*, sącząc zawiłe, jak zwykle, wywody, wyznała w końcu, że „ograniczenie udziału żydów w samorządzie jest koniecznością, dyktowaną nietylko przez interesy narodowe, ale także, i to przedewszystkim, przez wzgląd na zdrowy ustrój gospodarki miejskiej, która dziś w naszym kraju stoi fatalnie". Zauważmy w nawiasie, że jeśli gospodarka miejska w naszym kraju stoi dziś fatalnie, to jużcić nie dlatego, by żydzi mieli tu zbyt rozległe prawa, ale dla innych zupełnie powodów. Wątpliwości nie ulega, że przewaga liczebna żydów mogłaby wpłynąć ujemnie na sprawy przyszłego samorządu, zwłaszcza w pierwszych latach jego istnienia. Czyż jednak niema innego na to lekarstwa, jak to, które jest gorsze od samej choroby? Ograniczenia i represje krzywdzą stronę słabszą, a deprawują silniejszą. Zwłaszcza, że ostatnia, w danym wypadku, jest z kolei sama przedmiotem ograniczeń i represji ze strony żywiołów, nposażonych obficie w stosowne metody i środki...

O żydach w samorządzie pomyślały już władze o wiele bardziej miarodajne, niż Tow. Pracy Społecznej. Czy zaś metoda odraniczeń, zawarta w projekcie rządowym, ma na względzie interes nasz narodowy, czy tylko — zdrowy ustrój gospodarki miast polskich?— Tę kwestję przedkładamy mentorom *Gazety* do rozstrzygnięcia.

Co do nas, jesteśmy zdania, że cały system kurjalny. oparty na przywilejach, wynika poprostu z ducha panującej dziś reakcji, przyczym zwrócić należy uwagę roztargnionych pp. endeków, że nie dwie kurje będziemy posiadać w przesławnym samorządzie, jeno trzy: rosyjską, polską i żydowską. Sens owego aparatu polega na tym, że kurja rosyjska upośledza polską,

a polska — żydowską. Jeśli t. zw. Demokracja Narodowa sankcjonuje ostatnią formę upośledzeń, to tym samym sankcjonuje i pierwszą. Taki jest bowiem prosty rezultat „trzeźwo-wytrawnej" polityki pana Dmowskiego i Spółki.

* * *

Ale są jeszcze i inne rezultaty. Aparat rządowy, pełniąc automatyczne funkcje dzielenia przy pomocy kurji plemienno-wyznaniowych, rozszczepia żywioł miejscowy na dwa obozy, oddalając je od siebie i wyobcowując wzajemnie.

Is fecit cui prodest. Zdawałoby się, że żaden program narodowy, żadne uczciwe stronnictwo nie przyłoży ręki do tego dzieła. Zwłaszcza obóz nacjonalistyczny, zazwyczaj chętnie biorący impuls odwrotny do natchnień rządowych — gdy mu to na rękę — czego przykład mieliśmy niedawno w trakcie zjadliwych napaści na *Zaranie* za to, że jakoby „kontynuuje politykę komisarzy włościańskich"... Zarzut powyższy trąci nietylko szpetną demagogją, ale i fałszem. Dziś bowiem widzimy akolytów p. Dmowskiego niosących rządowi ochoczy a nieproszony sukurs. I jest to może największa kompromitacja, jaka spotyka ten obóz, tylekroć już skompromitowany, a zawsze niepoprawny.

Sankcja metody ograniczeń ze strony N.-D-cji jest najwidoczniej zbyteczna.

Rodzi się tedy pytanie: co też pchnąć mogło „trzeźwych polityków" do tak niepięknego kroku? Odpowiedź nasuwa się sama: oto nałóg — nałóg rządzenia, nałóg ograniczeń, kasowań, uszczuplań, uciskań na własną rękę, owa tak właściwa naszym nacjonalistom żądza naśladowania wielkich pierwowzorów — Bismarka, a choćby Stołypina.

Nie mogąc aplikować doktryny „egoizmu narodowego" do kolonji lub prowincji podbitych, kiedy nawet tu, w kraju, wobec żydów, wyręcza ich rząd — nacjonaliści chwytają bodaj teoretyczne pozory władztwa, czynią gesty represyjne... w próżni, aby tylko użyć żywiołowej swojej nostalgji za czymś, podobnym do bata.

* * *

Nie przemawiamy tu li tylko w imię oderwanych zasad Sprawiedliwości; nie przemawiamy, jako obrońcy pokrzywdzonych, lecz wyłącznie, jako Polacy, z punktu widzenia interesów narodu polskiego. Wszystko, co tchnie uciskiem, ograniczeniem, niewolą — wrogiem jest tych interesów, choćby chwilowe, doraźne, pozorne obiecywało korzyści!

Nam, Polakom, pozbawionym elementarnych praw narodowych, nie taką politykę kramarską godzi się prowadzić, nie politykę momentu, lecz przezorną, mądrą i celową politykę *jutra.* Przezornośc i celowość polityczna mówi nam, że czym więcej będzie tu przywilejów, ograniczeń, nadużyć i praw wyjątkowych — tym dłużej przyjdzie nam czekać na święty dzień wyzwolenia. Skwapliwie z rąk rządowych przejęta metoda ograniczeń jest obosieczną i zatrutą bronią.

Zamiast naszych interesów bronić — plami nasz honor narodowy i boleśnie rani dłoń, co ją trzyma.

Timeo Danaos et dona ferentes! Ten klasyczny napis należałoby umieścić na murach lokalu *Komisji Spraw Krajowych* i w redakcji *Gazety Warszawskiej*... Dar danajski da nam się jeszcze we znaki, zwróci się niechybnie przeciwko nam, skoro interes Polski, jako mniejszości narodowej w Państwie, stanie na porządku dziennym; a wszak on z niego nie schodzi!

Jakżeto? Mamy domagać się praw równych dla siebie, a sami nie szanujemy równości tu, w swoim domu? Toż to szaleństwo! Tylko nieszczęsna jakaś kołowacizna, mogła pchnąć nacjonalistów do tego, by w tak jawnie nastawiony potrzask ręce wsuwać...

Dotąd miała Polska, mimo wszystkie klęski, jeden potężny atut w ręku: hasło niespożyte, o niesłabnącym nigdy uroku: WOLNOŚĆ — RÓWNOŚĆ — BRATERSTWO.

Jeszcze niedawno widniały te słowa na szpaltach *Gazety Warszawskiej* — w czasie godów czeskich... Dlaczego Polska ufnie patrzyć powinna w przyszłość? Dlatego, że nie sprzeniewierzyła się temu hasłu. Dziś usiłują nam go wydrzeć podstępnie. Ale będziemy się bronić.

* * *

Wyniki gospodarki endeckiej w Galicji Wschodniej wskazują dostatecznie, jakich metod musimy unikać. Jeśli nasz głos nie dość jest dla pp. endeków miarodajny, niech zakosztują odrażających i cierpkich owoców swej pracy. Niech staną na tym dymiącym wulkanie, pełnym ognia, lawy i popiołu, zwanym *kwestją rusińską* w Galicji — i stamtąd niechaj ogarną okiem ogrom zdziczenia i zniszczenia. Tam oto, na tym nieszczęsnym terenie „Polak nowoczesny" pierwsze stawiał kroki „egoizmu", pierwsze „silnej pięści" wykonał łamańce. Fatalne następstwa tych igraszek i harców dziś boleśnie w polskie serca uderzają, budząc echa złośliwej uciechy nad Newą i Szprewą. Wiemy, dobrze wiemy, ile jest przesady, zmyśleń, a nawet fałszów w skargach Rusinów na ucisk polski, skargach, podchwytywanych skwapliwie, podsycanych przez pp. Bobrinskich i Markowów — ale wiemy też, niestety, jak ciężkie brzemię przewinień dźwiga na swoich barkach galicyjska N.-D-cja. Wiemy, ile zmudnej pracy wymaga teraz uregulowanie tej nieszczęsnej, karygodnie i bezmyślnie jątrzonej kwestji rusińskiej!

I oto ślepe sługi doktryny niedorzecznej a szkodliwej chcą tu eksperyment ruski na większą skalę powtórzyć... Tym zakusom stawimy opór stanowczy. Twierdzimy głośno, że Polsce więcej niż krzywda — bo hańba by się stała, gdyby spętanymi dłońmi kajdany na innych nałożyła!

Są w życiu narodów sytuacje tragiczne, fatalne, których, jak ognia, unikać należy. Taką sytuacją jest walka wzajemna niewolników pod batem dozorcy.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Wizyta cesarska w Poczdamie przeszła naogół bez wrażenia, jakkolwiek chwila obecna, w związku z położeniem w Persji i rosnącym antagonizmem Anglji i Niemiec, skłania do przypuszczeń, że tego rodzaju wymiana zdań może być czemś więcej, niż aktem kurtuazji dyplomatycznej. Jednakowoż wielkie organy prasy europejskiej zachowują poprawne milczenie dokoła skąpych pół-

oficjalnych komentarzy. Jeden z nich, który do Paryża przedostał się *via* Strasburg, głosi co następuje: Rosja powinna sama wiedzieć, gdzie i jak interesa jej skutecznie są bronione. Nie jest rzeczą Niemiec otwierać jej oczy na konsekwencje logiczne sojuszu z Francją i porozumienia z Wielką Brytanją.

Dla nas (Niemców) byłoby dostatecznym, gdyby w Rosji spostrzeżono nareszcie, że p. Izwolski pod wodzą sir Ewarda Grey'a wkroczył na tory szkodliwe dla interesów swego kraju. Wynikiem tego spostrzeżenia byłoby ściślejsze zbliżenie polityczne pomiędzy Niemcami a Rosją, do czego przyczynić się może także zażyła przyjaźń obu Monarchów.

Tego rodzaju komentarze półoficjalne, jak powyżej przytoczony, świadczą, że zarówno w Berlinie jak i nad Newą pewne sfery gorliwie pracują nad częściowym bodaj sparaliżowaniem akcji Franko-Brytańskiej. W miarodajnych kołach wiedeńskich kładzie się nacisk należyty na to, że Rosja, bez względu na stopień serdecznego zbliżenia do Niemiec, powinna wybić sobie z głowy raz na zawsze ambitne na Bałkanach plany. Nie bez pewnej ironji, świadomej czy bezwiednej, przypomina prasa wiedeńska, że Niemcy energiczną swoją postawą zmusiły Rosję do zaniechania pogróżek bojowych podczas pamiętnego zatargu w 1908 r. Należy im się tedy wdzięczność rzetelna ze strony Rosji, na którą interwencja niemiecka podziałała wówczas, jak stumień trzeźwiącej zimnej wody.

Jakoż pewnym jest, że zjazd poczdamski stanowi rodzaj likwidacji resztek tarć i uraz, zaległych osadem łatwo zrozumiałej goryczy w piersi p. Izwolskiego. Dzieło pokoju powszechnego zostało zatym częściowo wzmocnione; ale tu zauważyć się godzi, że wschodnia granica Niemiec jest dziś podrzędnym frontem bojowym, i być może, dlatego tylko pospieszono doprowadzić ją do porządku, by całą uwagę skupić na froncie głównym, który wyciągnął się na trzy części świata i stanowi teren przypuszczalnych wielkich zapasów między Niemcami i Anglją.

* * *

Gabinet p. Brianda, wyszedłszy zwycięzko z burzliwych obrad z powodu strajku kolejowego, przyczym okazało się, że zdolny i energiczny premier ma za sobą olbrzymią większość opinji—uległ dość gruntownej rekonstrukci d. 3 i 4 listopada.

Częściowy kryzys powstał na tle zamierzonych przez p. Brianda zarządzeń prawnych, które mają znieść raz na zawsze możność bezrobocia na kolejach, uznanych zupełnie słusznie za instytucję publiczną wielkiego państwowego znaczenia. Natomiast zamierzono wprowadzić na kolejach system obowiązujących sądów rozjemczych na wypadek jakichkolwiek zatargów i nieporozumień. Ponieważ te projekty nie u wszystkich członków gabinetu doznały życzliwego przyjęcia — zwłaszcza byli im przeciwni pp. Millerand i Viviani, których wiążą dawne i wyraźne zobowiązania wobec związków kolejarskich — przeto gabinet podał się *in gremio* do dymisji, poczym prezydent Rzeczypospolitej polecił p. Briandowi utworzenie nowego ministerjum. P. Briand zabrał się tedy do dzieła ku wielkiemu niezadowoleniu socjalistów „zjednoczonych", i w ciągu 24 godzin utworzył następującą kombinację: Arystydes Briand, prezes rady ministrów, minister spraw wewnętrznych; Th. Girard, min. sprawiedliwości; St Pichon — spraw zagran.; jen. Brun — wojny; adm. de Lapeyrèse, marynarki; Klotz — finansów; Dupuy — handlu; Puech robót publicznych; Faure — oświaty; Morel — kolonji; Raynand — rolnictwa; Lafferre — pracy. Wszyscy nowi ministrowie należą do stronn. radykalnego i rad.-socjalistycznego (*Parti radical et radical-socialiste*) prócz p. Raynaud, który jest członkiem lewicy demokratycznej (*La gauche démocratique*). Nadto, wiadomo powszechnie, że p. Lafferre, który objął puściznę po p. Viviani'm, piastuje dotąd godność prezesa potężnej organizacji wolnomularskiej (*Le Grand Orient de France*) co, rzecz prosta, musi usposobić do rządu nienawistnie całą prawicę, a nawet umiarkowane centrum. Natomiast obecność p. Lafferre'a w gabinecie daje rękojmie pewnej powściągliwości ze strony radykalnej frakcji Combes'a i Pelletand, która dotąd szła społem ze skrajną lewicą.

W ogólnym więc rezultacie powołanie Lafferre'a do ministerjum było ze strony p. Brianda krokiem udatnym; mimo to program rządowy napotyka na bardzo poważne trudności, uchodząc w pewnych kołach za nazbyt „reakcyjny". Z punktu widzenia postępu nie można podzielać tego poglądu. Konsolidacja państwowa we Francji, w granicach prawa, kładąc kres wichrzeniom i anarchji w rodzaju zajść ostatnich — wyjść musi na korzyść Rzeczypospolitej i cywilizowanej ludzkości.

Nowa republika.

Do świetnego łańcucha powodzeniem uwieńczonych przewrotów demokratycznych, którymi wypełnione są najpiękniejsze karty historji ostatnich dwuch wieków, przybyło nowe ogniwo. Nieśmiertelne hasła ludowładztwa i praw człowieka, wygłoszone poraz pierwszy w końcu XVIII-go wieku, rozszerzają się stopniowo na całą ludzkość i niema roku, w którymby nie wypadało notować nowych zdobyczy tych haseł. Przeświadczenie, że o żadnym dalszym rozwoju mowy być nie może, dopóki hasła te nie są urzeczywistnione, stają się prawdą powszechną, popartą przez doświadczenie wszystkich krajów i narodów. Prawda ta najtrudniej toruje sobie drogę do północno-wschodniej Europy, gdzie przeważa kulturalny wpływ Prus i gdzie absolutyzm zapuścił najgłębsze korzenie.

Nic dziwnego też, że rewolucja portugalska przeszła dla nas, jako zjawisko niezrozumiałe i bodaj niepożądane. Pisma „endeckie" są bardzo niezadowolone, że rewulucjoniści portugalscy nie uszanowali „praw" św. kościoła rzymsko-katolickiego i że płomienie wzgardy ludowej objęły zarówno despotyzm świecki, jak i despotyzm religijny. Nasi reakcyjni demagogowie nie chcą zrozumieć, że autokratycznie zorganizowany kościół katolicki żadną miarą nie może iść w parze z demokracją. Dobry katolik, starty w pył wobec autorytetu Kościoła, bezwzględnie posłuszny względem hierarchji duchownej, omotany tysiącznymi nićmi zależności i wdzięczności — nie może być dobrym obywatelem wolnego kraju.

Katolicyzm zabija indywidualność, a na indywidualności, na poczuciu własnej godności i własnej wartości, opiera się demokracja. Hierarchja katolicka, ze swoją władzą pochodzącą od Boga i od nieomylnego papieża, cóż może mieć wspólnego z delegatami ludu, wybieranymi przez ten lud dla załatwienia jego spraw? To też nic dziwnego, że wolność polityczna rodzi się zawsze w walce z katolicyzmem.

Nawet niepodległość narodowa nie znosi kompromisu z władzą rzymskich następców Konstantyna Wielkiego. Te narody, które w XV-ym i XVI-ym wieku nie przeszły reformacji protestanckiej, dziś w ten czy inny sposób zrywają z katolicyzmem, bo dłuższe współżycie z nim doprowadziłoby je do ostatniej ruiny. Francja, Włochy, Hiszpanja, Portugalja, Czechy, Belgja — wszędzie walka z katolicyzmem, jako nierozerwalne uzupełnienie walki o wolność polityczną, wysuwa się na pierwszy plan i wszędzie racjonalizm tryumfuje lub (jak w Belgji) jest blizkim tryumfu. I nasi demokraci, z końca XVIII-go i początku XIX-go wieku, ci, którzy pisali kostytucję 3-go maja, którzy formowali legjony, tworzyli Księztwo Warszawskie i urządzali Królestwo Kongresowe, również hołdowali racjonalizmowi wypowiadając otwartą walkę tradycji katolickiej. Niestety — od tego czasu rzeka naszego rozwoju — zamiast płynąć naprzód, wsiąkła w jakieś wydmy piaszczyste, i jałowe,

Rewolucja portugalska nie w smak poszła i naszym rewolucyjnym demagogom. Zarówno jej anty-

klerykalny, jak i demokratyczny charakter wywołuje u nich niechęć źle maskowaną przez plątaninę scholastycznych talmudyczno-jezuickich wykrętów. Kto raz pisze, że religja wogóle, a więc i religja katolicka jest rzeczą przywatną i, jako taka, nie może wywoływać publicznego przeciwdziałania, a potem dowodzi, że katolicyzm jest twierdzą kapitalizmu, ten oczywiście nie ma wyrobionego zdania w tej kwestji; w każdym razie w obydwóch wypadkach się myli. Kościół katolicki jest najzręczniej i najumiejętniej zorganizowanym despotyzmem. który zdołał przetrwać wieki, nie posiadając własnego państwa i własnej armji, który wżarł się w najskrytsze tajniki duszy ludzkiej i który przedewszystkim musi być zwalczony przez wypływającą na wierzch demokrację. Nie należy osłaniać go ani popierać, ale i nie można uważać za twierdzę kapitalizmu, bo kapitalizm, t. j. produkcja wielko-przemysłowa, nie może istnieć z pomocą inżynierów wychowanych w szkołach klasztornych i z pomocą robotników, obchodzących sto pięćdziesiąt dni świątecznych w roku. Katolicyzm, jak z resztą każdy fanatyzm religijny, wytwarza typy ludzkie i stosunki, które stają w poprzek rozwojowi wielkiego przemysłu.

Demokratyczny charakter rewolucji portugalskiej, brak socjalizmu i brak haseł ekonomicznych w niej, jeszcze więcej gniewa naszych demagogów. Dowodzą oni, że podobny przewrót był możliwy tylko w bardzo nieskomplikowanych stosunkach gospodarczych, dając do zrozumienia, że w tak bardzo rozwiniętym ustroju gospodarczym, jak wschodnio-europejski jest on już niemożliwy. Przewrót portugalski przypomina im rok 1789-ty, i ta odległa data ma wzbudzić w nas reminiscencje raczej historyczne, nie zaś być pobudką praktycznego działania w r. 1910-ym. Wreszcie rezultatem tego przewrotu ma być wprowadzenie takich stosunków, które odpowiadają interesom mieszczaństwa; ogół zaś, całe społeczeństwo, a szczególniej jego klasy pracujące nie wiele na nim skorzystają.

Tak piszą ludzie, którzy swoimi hasłami przewrotu socjalnego i swoimi strejkami ekonomicznymi, powtarzanymi bez sensu i bez miary, niesłychanie ułatwili w swoim czasie zadanie reakcji; pokazuje się, że doświadczenie ich niczego nie nauczyło. Jasną jest rzeczą, że niema danych w społeczeństwie do stworzenia odrazu nowego ustroju ekonomicznego i gdyby proletarjat dziś stał się panem sytuacji ekonomicznej, to — wskutek swego nieprzygotowania do niezmiernie trudnej roli organizatora produkcji, handlu i spożycia — wprowadziłby i siebie, i cały kraj w najstraszniejszą nędę i anarchję. Dlatego wszelkie próby wywołania przewrotu społecznego muszą kończyć się fiaskiem, tym mniej zaś udać się one mogą tam, gdzie proletarjat pozbawiony słońca wolności politycznej nie mógł pracować nad swoim rozwojem kulturalnym. To niesłychane skomplikowanie stosunków gospodarczych we Wschodniej Europie jest argumentem wprost humorystycznym; zresztą — w razie potrzeby — mówi się o zacofaniu gospodarczym Rosji, jak wypadnie. Zdaje się, że Prusy i Austrja uważane są za kraje o niezmiernie skomplikowanym ustroju gospodarczym. Otóż — czemże był austryjacki strejk kolejarzy, podjęty w imię powszechnego głosowania, bez żadnych postulatów ekonomicznych? — Była to też typowa rewolucja demokratyczna, uwieńczona dobrym rezultatem, chociaż prowadzona środkami bardzo łagodnymi.

Czemże jest żądanie zniesienia trzechklasowego systemu głosowania w Prusach, które—wbrew wszystkim sofizmatom ortodoksyjnych marksistów — góruje obecnie w Niemczech ponad wszystkimi innymi kwestjami, jeżeli nie przygotowaniem do powrotu demokratycznego? O ile usuniemy na bok czynniki rasowego niedołęstwa, jak u Polaków, Rosjan i żydów i rasowego serwilizmu, jak u Prusaków, — to samo przez się większe skomplikowanie stosunków gospodarczych wywołuje raczej tym większą potrzebę wolności politycznej. Czy podobna sobie wyobrazić rozwój gospodarczy Anglji lub Ameryki (chyba, jeżeli gdzie, to tam stosunki gospodarcze są skomplikowane!) bez wolności politycznej? Podnoszenie własnych wad psychiczno-rasowych do godności ogólnej zasady socjologicznej jest szczytem hypokryzji, na to mogli się zdobyć tylko pruscy ortodoksi, a nasi oczywiście powtarzają za panią matką pacierz. Zresztą pruscy ortodoksi argumentem skomplikowanych stosunków ekonomicznych zasłaniają tylko własne niedołęztwo, ba rosyjski powszechny strejk kolejowy został przez „samego" Kautsky'ego nazwany „rewolucją demokratyczną, prowadzoną środkami proletarjackimi", a późniejsze usiłowania naszych ortodoksów do wywołania przewrotu społecznego spotykały się z bardzo ostrą krytyką socjalistów zagranicznych, którzy uważali, że zupełnie wystarczy uzyskanie wolności politycznej, bo urzeczywistnienie kollektywizmu jest czystą utopją w danych warunkach. Kiedy przebrzmiały pierwsze tryumfy młodo-turków i kiedy w Turcji zaszły wypadki przykre, o charakterze reakcyjnym, jak np. zwalczanie powstania albańskiego, nasi ortodoksi z radością, zacierając ręce, wołali: ot, widzicie, przewroty polityczne nic nie znaczą, dopóki się nie zmieni podłoże gospodarcze. Otóż ta radość była przedwczesna. Bądź co bądź, dzisiejsze stosunki, panujące w Turcji, a te, jakie panowały za Abdul-Hamida — to dzień i noc. Ci zaś, którzy tyle mówią o znaczeniu podłoża gospodarczego, powinni rozumieć, że stopień rozwoju tego podłoża i wogóle stopień rozwoju kultury danego kraju ma pewne, choć nie bezwzględne znaczenie i właśnie chodzi o to, aby dane warunki materjalne wyzyskać w kierunku *maximum* świadomego rozwoju.

Tak też zaczyna dziać się na całym świecie, z wyjątkiem Wschodniej Europy, gdzie pomimo względnie wysokiego stopnia rozwoju gospodarczego, rozwoju żywiołowego, niezależnego od świadomości zbiorowej, wszystkie te instytucje, które noszą charakter zbiorowości i świadomości, są organizowane niesłychanie niepraktycznie i niecelowo. A przyczyną tego jest podbój Wschodniej Europy przez ideologję pruskiego ortodoksyjnego marksizmu, ideologję negującą świadomość. wolę i — w gruncie rzeczy — wrogą demokracji politycznej. Brak zachodnio-europejskich doktryn politycznie-wolnościowych i społecznie-reformistycznych we Wschodniej Europie z jednej strony utrwala istniejący tam stan rzeczy, z drugiej nie pozwala mieszkańcom tego upośledzonego kąta naszej planety należycie rozumieć i oceniać wypadki epokowej doniosłości, rozgrywające się gdzieindziej.

Jerzy Kurnatowski.

Wielki Kraków.

(Dokończenie).

Kraków to perła architektoniczna miast naszych, cenna nietylko sercu i pamięci, ale zabytek prastarej polskiej kultury i wymowne dla niej świadectwo w obliczu Europy. Konserwacja charakteru miasta, zarówno, jak i obrona przed oszpecaniem, stanowić przeto musi troskę nietylko instytucji i towarzystw kulturalno-estetycznych, ale i zarządu miasta. Konkurs wyłączał środek miasta, który przeróbkom ulegać nie będzie, a ograniczył się do projektów ustalenia łączności z przyłączonymi gminami oraz ich urządzenia. Przedstawiało to obszerne pole dla urzeczywistnienia idei, które stały się już postulatem naszych wymagań w kwestji uprzemysłowienia miasta, zapewnienia mu odpowiedniej komunikacji, zużytkowania dla wygody, przyjemności i komunikacji wód Wisły, Rudawy i Wilgi, otoczenia zielonością, stwarzając nowe parki i rozszerzając istniejące, oraz dla przeprowa-

dzenia pomysłów niezbędnych ze stanowiska polityki socjalnej. W warunkach konkursu zaznaczono żądanie oznaczenia dzielnicy willowej, rękodzielniczej, fabrycznej, tanich mieszkań, oraz dzielnic o charakterze wiejskim.

Już z samego konkursu wynikała przeto kwestja, w sprawie miast sporna, czy dobrze jest, aby grupować ludność według jej zamożności i charakteru zawodowego. Za łączeniem różnych klas ludności w tej samej dzielnicy przemawiają liczne względy, wśród których na pierwszym miejscu postawić by można wzajemne kulturalne oddziaływanie, a bodaj na ostatnim łatwość znalezienia dla rodzin uboższych zajęć dodatkowych (usługi, pranie, naprawki, łatanie, przygotowywanie odzieży i t. p.). Łączne zamieszkanie różnych klas ludności to stan dzisiejszy, a przemawiający za nim argument kulturalny nie zmniejszył antagonizmów i walk klasowych.

Łatwe znalezienie pracowników (nie pracy) dodatkowych leży raczej w interesie warstw zamożnych, niż ubogich, bo zajęcia te dorywcze, nie nakładające żadnych zobowiązań na zarobkodawcę, nie dają stałych i z góry określić się dających dochodów, ani pewności bytu. Łączne zamieszkanie rzemieślników i kramarzy niewątpliwie ma dla nich w dzisiejszych warunkach znaczenie, zależą bowiem bezpośrednio od obstalunków spożywcy. Kramarze ustępują jednak miejsca wielkim magazynom i kooperatywom, rzemiosło staje się dodatkiem do fabryk, łączy w spółki i potrzebuje technicznych urządzeń, które na drodze centralizacji dają się łatwiej urzeczywistnić.

Jeszcze mniej łączności z innymi klasami społeczeństwa pragną i potrzebują robotnicy fabryczni. Ci żyją życiem własnym, organizują się w obrębie swej klasy, stwarzają własne urządzenia kulturalne i potrzebują przedewszystkim mieszkań nie daleko lub mieć dobre połączenie z dzielnicą fabryczną.

Wyodrębnienie tej dzielnicy napotka chyba na opór najmniejszy, bo nawet technika nowoczesna uzależnia wzajemnie fabryki, wytwarza specjalne zakłady dla zużytkowania odpadków, wymaga urządzeń komunikacyjnych i t. p.

Co do dzielnic willowych, to są one niewątpliwym produktem dzisiejszego podziału pracy. Mieszkania w zacisznej, eleganckiej, przerżniętej ogrodami dzielnicy poszukuje nietylko zamożny rentjer, ale i każdy pracownik umysłowy, o ile go na to stać.

Szczęśliwe rozstrzygnięcie specjalnych dzielnic spotykamy w projekcie *Urbs*. Dzielnica rzemieślnicza umieszczoną została na Dębnikach, nad Wisłą i grupuje się dokoła centrali „domu pracy", w której każdy majster znajdzie tanią motoryczną siłę, domki mają warsztaty, znajdują się szkoły specjalne i t. d. Dz. robotnicza, dotykająca do fabrycznej, projektowana jako domki wśród ogrodów z obszernym parkiem ludowym, teatrem, domem robotniczym, o którym powiada autor projektu. Budynek zbudowany z betonu, żelaza i szkła, zawierać powinien wielką salę, sale do zabaw, sale do posiedzeń klubów i stowarzyszeń, bibliotekę, galerje do spacerów w czasie deszczu, na dachach miejsce na kąpiele słoneczne, na dole sklepy, restauracje, kawiarnie... Budynek skomponowany bogato, pełen alegorycznych figur... Człowiek pracy codziennej kocha się w przepychu, w dużym geście, w rzeczy okazałej... Bardzo szczęśliwym jest też w projekcie *Urbs* pomysł dzielnicy wystawowej. Dziś, kiedy wystawy weszły niemal w program życia zbiorowego, trzeba je zawczasu przewidywać. W okresie bezwystawowym teren i budynki finansowane być mają dla zabaw, koncertów, spacerów, restauracji, kawiarni i t. p.

Ważną troską wszystkich projektów były parki i roślinność. Najmniej szczęśliwym w tym kierunku był projekt *Krak*, który projektuje „Pas zalesiony" 150 metrów szeroki, zakreślony po za miastem. Projekt (5) stwarza drugi pas plantacji zewnętrznych. Pomimo, iż świadczy to o pietyzmie dla istniejących już istotnie pięknych plantacji, powtórzenie tego samego motywu nie byłoby pożądanym. Projektowi *Urbs* przyznają wszyscy wyjątkową pomysłowość pod względem parków, dróg wysadzanych drzewami, skwerów i t. p. Wyróżnia się tu park Wyspiańskiego, obok teatru, poczty, pomyślanego w stylu greckim ogród królowej Jadwigi, na terytorjum miejskim, gdzie kiedyś istniał ogród Trzech fontan, Jakóba Wagi, oraz Droga Narodowa, przecinająca Błonia, po obu stronach której, na dawnym polu elekcyjnym, stanęłyby gmachy publiczne.

W planie (5), skonstruowanym zresztą dla idealnych warunków, wyróżnia się piękne rozwiązanie dzielnicy willowej, wejście na planty z placu wolskiego mniej szczęśliwym jest natomiast podzielenie błoni szeregami drzew na geometrycznie prawidłowe figury.

Projekt „szerokie serce" wychodzi z założeń praktycznych, uwzględnia techniczne urządzenia komunikacji, umocnienia brzegów, wyzyskanie terenów, licząc się przy tym z nizkim, bo zaledwie 4 miljony koron wynoszącym, budżetem Krakowa.

Na zakończenie słówko pod adresem „odświętności", zarzucanej ogółowi planów konkursowych.

Przyznaję, że Kraków powinien żyć życiem codziennym jak inne miasta. Jest to obowiązkiem i prawem jego mieszkańców. W naszych warunkach hasło „bogaćmy się" jest prawie obowiązkiem narodowym. Ale pomimo to, żadne serce polskie nie zrezygnuje z roli, jaką dotąd Krakowowi przyznajemy, koncentrowania polaków w dni uroczyste. Kraków musi być tłem dla obchodów i wzbudzanych przez nie uczuć. Liczyli się z tym autorowie planów i to im za obywatelską zasługę poczytane być musi.

Dr. Z. D.-G.

Listy z Galicji.

XIV.

Dalsze losy reformy wyborczej do Sejmu. Stanowisko Rusinów. P. Grabski. Marszałek Badeni.

Od czasu napisania ostatniego mojego listu nie zaszła żadna zmiana zasadnicza w sprawie reformy wyborczej.

Dyskusja, jaka się odbyła w Sejmie w tym przedmiocie 26 i 29 października była bardzo charakterystyczna, zarówno dla poszczególnych mówców różnych stronnictw jak i dla całego sejmu. Zatrzymam się tylko na niektórych przemówieniach wybitniejszych posłów.

Dnia 26 października obszerną mowę wygłosił członek Wydziału Krajowego i Stronnictwa ludowego (odłam skupiający się koło p. Stapińskiego) — poseł Franciszek Stefczyk. Działalność jego w Galicji na polu ekonomiczno-kulturalnym jest bardzo dodatnią i zyskała mu powszechny szacunek. Znany jest on zwłaszcza jako organizator kas reifeizenowskich na wsi.

Jako polityk, poseł Stefczyk nie posiada niestety tych przymiotów, które ujawnił na polu działalności gospodarczej.

W długiej swojej mowie bardzo pojednawczej wobec konserwatystów wypowiedział poglądy zupełnie niezrozumiałe w ustach ludowca.

Poseł Stefczyk zaczął od tego, że starał się wytłomaczyć, dlaczego ludowcy słaby stosunkowo stawiają opór projektom konserwatystów, dotyczącym reformy wyborczej. Zdaniem jego, wynika to stąd, że sejm jest jednoizbowy, i że, wobec tego, jest zupełnie rzeczą naturalną aby istniał w nim surogat Izby Wyższej, w postaci kurji wielkiej własności ziemskiej.

Rusinów zapewnił gołosłownie p. Stefczyk o życzliwości posłów polskich i wezwał ich do współdziałania w rozwoju autonomji i Galicji. Żądał od nich wyrozumiałości dla Polaków, którzy na ogół w ciężkich znajdując się warunkach poza Austrją — muszą silnie stać przy utrzymaniu stanu posiadania w Galicji. Najlepszą częścią mowy była ta, w której zalecał solidarność wsi i miast.

Zupełnie inny charakter od mowy wyżej streszczonej miały mowy wybitnych konserwatystów, profesorów uniwersytetu, posłów Milewskiego i Starzyńskiego. Poseł Stefczyk mówił szczerze pojednawczo aż nazbyt. Konserwatyści przemawiali obłudnie, licząc na bezgraniczną naiwność innych posłów i wyzywająco, tak jak ludzie, którzy wiedzą, że nie spotka ich na razie żadna kara za zuchwałość.

Poseł Milewski wykładał długie lata ekonomję polityczną w Krakowie. Nauki nie wzbogacił żadnymt poważnymi przyczynkami. W roku zeszłym ogłosił pracę p. t. „Zagadnienia polityki narodowej", w której poruszył ogólnikowo mnóstwo spraw i uwydatnił pewne oczytanie, nie potrafił jednak oświetlić najważniejszych zagadnień politycznych, ani ich rozwiązać należycie. Poseł Milewski był stańczykiem (zachodnio-galicyjskim konserwatystą), niedawno stał się podolakiem (wschodnio-galicyjskim wstecznikiem); zdradza też sympatję do narodowej demokracji, aż w tym stopniu, że cytuje nietylko Dmowskiego i Balickiego, ale nawet Antoniego Sadzewicza.

W ostatniej swojej mowie, wypowiedzianej na posiedzeniu sejmowym z dnia 29 października, usiłował wykazać, że czteroprzymiotnikowe prawo głosowania jest złe i w tym celu przytaczał rozmaite cytaty bez znaczenia i doboru. Najciekawszym jednak w jego wywodach było to, że jako argument przeciwko czteroprzymiotnikowemu prawu głosowania przytoczył dążność do zaprowadzenia wyborów proporcjonalnych we Francji. Otóż wybory proporcjonalne są tylko udoskonaleniem czteroprzymiotnikowego systemu wyborczego. Obrońcy wyborów proporcjonalnych dowodzą słusznie, że przy czteroprzymiotnikowym systemie trafić się może, że większość w parlamencie nie odpowiada większości w kraju, gdyż w każdym okręgu przepadają głosy mniejszości, trafić się więc może, przy nierówności okręgów większych razem tworzą wogóle większość Wybory proporcjonalne mają więc na celu zapewnienie większości w parlamencie tym, co ją mają faktycznie w kraju. Dążą więc one do zapewnienia przewagi liczbie, co właśnie zwalczają konserwatyści.

System proporcjonalny zapewnia wprawdzie przedstawicielstwo mniejszości, ale tylko stosunkowo do ilości jej głosów.

Czteroprzymiotnikowy system wyborczy w połączeniu z systemem proporcjonalnym, tworzy najlepszy ze znanych dziś systemów wyborczych.

Ci, co dążą dziś we Francji do zaprowadzenia wyborów proporcjonalnych, nie myślą wcale o nierówności głosów. W Belgji istnieje system proporcjonalny w połączeniu z pluralnym. Jednakże pluralność nietylko nie łączy się koniecznie z proporcjonalnością, lecz opiera się w gruncie rzeczy na innych podstawach.

Poseł Milewski nie może tego nie wiedzieć. Chcąc jednak zwalczyć czteroprzymiotnikowy system wyborczy za pomocą argumentów na korzyść proporcjonalnego — liczył oczywiście na bezgraniczną naiwność swojego audytorjum. Postępował więc jak blagier i demagog, który chce olśnić słuchaczy frazesami bezkrytycznymi.

Poseł Rutowski słusznie poddał ostrej krytyce tę taktykę przewlekania wszystkiego przez konserwatystów, która może źle się skończyć dla nich samych.

Napotkawszy na silny opór w sprawie zaprowadzenia veta kurjalnego przy zmianie ordynacji wyborczej — konserwatyści wystąpili z nowym projektem utrudnienia dalszych przeobrażeń w tym kierunku.

Konserwatyści pragną, aby większość potrzebna do uchwalenia nowej ordynacji wyborczej, wynosiła na przyszłość cztery piąte, albo pięć szóstych.

Ponieważ przypuszczalna liczba posłów wynosiłaby, po przeprowadzeniu reformy wyborczej, 198, albo 200 — więc, gdyby żądaniu konserwatystów stało się zadość, wówczas de facto sami posłowie z kurji wielkiej własności ziemskiej (w liczbie 44) mogliby udaremnić wszelką reformę. W gruncie rzeczy nowe to żądanie konserwatystów ma w sobie więcej jeszcze cynizmu niż poprzednie (veto kurjalne).

Wielcy właściciele ziemscy w Galicji przestali, już od lat wielu, koncentrować w sobie życie narodowe polskie tego kraju. Obecnie zarówno życie umysłowe wogóle, jak ofiarność na cele publiczne i inicjatywa społeczna przeszła już do innych kół...

Słusznie zauważyła *Gazeta Powszechna*, że obecnie niema już nawet w Galicji, wielkiego politycznego z programem własnym stronnictwa konserwatywnego. Są natomiast tylko konserwatyści poszczególni, którzy bronią swoich osobistych interesów. I ci to ludzie śmią żądać dla siebie nowych jeszcze przywilejów!

Według informacji socjalistów rząd centralny nie dopuści do sankcji cesarskiej zbyt wykoszlawionej reformy wyborczej, jak również i zbyt postępowej (opartej na czteroprzymiotnikowym prawie głosowania)

P. Grabski został ograniczony w wolności pisania. Redakcja *Słowa Polskiego* i stronnictwo narodowo-demokratyczne ustanowiły kontrole nad jego niepodpisywanymi artykułami wstępnymi w tym piśmie. Każdy taki artykuł musi być odczytany i zaaprobowany przez posła Adama i p. Pawlikowskiego. Nie jest to kontrola dla p. Grabskiego uciążliwa, gdyż p. Pawlikowski, pod względem politycznym, jest manekinem w jego rękach.

Dnia 28 października młodzież w wyższych zakładach naukowych urządziła jednodniowy strejk, jako protest przeciwko przetrzymywaniu w więzieniu w Krakowie aresztowanych królewiaków. Na politechnice strejk się udał całkowicie, ponieważ przeważają tam żywioły postępowo-socjalistyczne. W uniwersytecie, gdzie jest dużo narodowych-demokratów strejk udał się tylko częściowo.

Kiedy p. Grabski wychodził z gmachu uniwersyteckiego, młodzież strejkująca stojąca przed nim wznosiła wrogie i obelżywe okrzyki pod adresem przywódcy narodowej-demokracji. P. Grabski jest bardzo nielubiany nietylko jako agitator polityczny, lecz także jako profesor szykanujący młodzież przy egzaminach, i jako inspirator pisemka rewolwerowego o barwie narodowo-demokratycznej — *Gońca.*

W czasach ostatnich, nastąpiła z wolna pewna zmiana w stosunku do demokracji-narodowej jednego z dygnitarzy galicyjskich marszałka krajowego hr. Stanisława Badeniego. Zewnętrznie uwidoczniła się ona już przy otwarciu sejmu. Marszałek zawsze wstawiał do swojej mowy polskiej wstęp wygłoszony w języku rusińskim, robił też to i robi namiestnik. Otóż obecnie hr. Badeni całą mowę wygłosił po polsku, za co go *Słowo Polskie* pochwaliło. Namiestnik Bobrzyński postąpił jak zwykle i część mowy wygłosił po rusińsku.

Podobno p. Dmowski, od Zjazdu Grunwaldzkiego, w Krakowie starał się zbliżyć marszałka z narodową-demokracją. Były prezes Koła Polskiego woli zawsze zbliżanie się z osobami wysoko postawionymi, niż walkę z nimi Trudno jednak zrozumieć co mogło wpłynąć na zmianę stosunku marszałka do narodowej-demokracji? Być może, że odegrała tu pewną rolę ta okoliczność, że hr. Stanisław Badeni jest bardzo wrażliwy na opinję wpływowych kół społeczeństwa, że lubi popularność i przywykł do niej, i że dlatego trudno mu było pogodzić się z tą myślą, że ma przeciwko

sobie nowe stronnictwo, które stosunkowo prędko się rozrastało, chociaż, w czasach ostatnich chylić się zaczęło ku upadkowi.

Wątpliwym jest jednak czy hr. Stanisław Badeni będzie mógł i umiał dostosować się do kierowników narodowej demokracji w Galicji. Marszułek jest politykiem ostrożnym i kompromisowym, chcącym jednoczyć rozmaite stronnictwa i dwa narody zamieszkujące Galicję; narodowa-demokracja lubi przedewszystkim prowadzić grę hazardowną, krzyczyć i straszyć, oraz szczuć Polaków przeciwko Rusinom. Z narodową demokracją nie można współdziałać, lecz trzeba albo się jej poddać bez apelu, albo ją zwalczać — bez pardonu.

P. Głąbiński spostrzegł się że p. Grabski zagarnął wszystko w swoje ręce i powoli chce odzyskać w swoim stronnictwie, dawną pozycję. Do formalnego rozłamu w narodowej-demokracji nie doszło, walka wewnętrzna w jej łonie odbywa się jednak ciągle ale po cichu.

Wszystkie prawie stronnictwa w Galicji są obecnie porozbijane, co ma jedną dobrą stronę — że powstanie nowych jest przez to łatwiejsze. Niestety dotychczas nie widać ludzi, którzyby je mogli powołać do życia.

Ludwik Kulczycki

BADANIA NAUKOWE.

Z zagadnień ewolucjonizmu.[1])

Idea ewolucji, zasada powszechnego rozwoju, postępującego, drogą zmian ustawicznych, od ustrojów niższych ku coraz wyższym, stała się, podobnie jak idea przyczynowości, jedną z fundamentalnych postaw umysłu poznawczego wobec zjawisk wszechświata; stała się ona dla nas niemal nową kategorją myślenia.

Nie będziemy tu wyliczać dostatecznie już spopularyzowanych dowodów transformizmu, czyli powszechnej zmienności istot ożywionych. Wystarcza przytoczyć — za Bergsonem — spostrzeżenie, iż idea transformizmu w zarodku tkwi już w przyrodzonej klasyfikacji gatunków. Naturalista, wistocie, stawia obok siebie organizmy podobne, następnie całą grupę dzieli na pod-grupy, w których łonie zachodzą podobieństwa jeszcze wyraźniejsze, i t. d.; w przeciągu całej tej czynności, znamiona grupy występują jako motywy ogólne, wokół których ugrupowania pomniejsze tworzą swe poszczególne odmiany. Otóż, taki właśnie zachodzi stosunek, w świecie zwierzęcym zarówno jak roślinnym, między postaciami pierwotnymi a pochodnymi: na kanwie, przez przodków przekazywanej potomkom i stanowiącej własność wspólną tych ostatnich, każdy osobnik snuje szlaki odrębne.

Prawda, iż różnice między rodzicielami a dziećmi bywają nieznaczne, i usprawiedliwionym jest pytanie, czy jedna i ta sama materja życia posiada w sobie dość podatności, aby przyoblekać kolejno postacie tak różne, jak ryby, gady, ptaki. Wszelako na pytanie owo, obserwacja daje odpowiedź stanowczą. Wykazuje ona, że embrjon ptaka, aż do pewnego okresu w swym rozwoju, niemal niczym nie różni się od embrjona gadu, i że każdy osobnik przechodzi w ciągu życia embrjonalnego, w ogólnych zarysach, szereg przemian, dających się porównać z przemianami, jakie, wedle ewolucjonizmu, przechodzą gatunki, wstępując po szczeblach rozwoju.

Komórka, otrzymana przez połączenie dwu innych komórek — męzkiej i żeńskiej — wykonywa tę pracę rozwojową w drodze podziału samej siebie. Każdy dzień stawia nam przed oczy obraz powstawania najwyższych form życia z najbardziej pierwiastkowych.

Doświadczenie tedy stwierdza, że istoty złożone mogły zrodzić się z istot najprostszych, drogą ewolucji.

Z kolei powstaje pytanie, czy tak było w rzeczywistości?

Paleontologja, mimo ułamkowość swych dowodów, teorję naszą potwierdza, ponieważ tam, gdzie zdołała ona, z niejaką dokładnością, ustalić porządek w następowaniu po sobie gatunków, porządek ten istotnie odpowiada wskazaniom wysnutym z embrjogenji oraz anatomji porównawczej, każde zaś nowe odkrycie paleontologiczne nowymi potwierdza dowodami zasadę transformizmu.

W ten sposób, dowód, dostarczony przez obserwację bezpośrednią, zyskuje coraz bardziej na mocy, gdy jednocześnie, z drugiej strony, doświadczenie usuwa zarzuty, jeden za drugim: tak np. niedawne doświadczenia H de Vries'a, wykazując, że doniosłe zmiany powstawać mogą nagle i przekazywane bywają prawidłowo, uwolniły teorję od splotu bardzo poważnych trudności.

Pozwalają nam one znacznie skrócić długość czasu, niezbędną dla ewolucji. Czynią nas też mniej wymagającymi w stosunku do paleontologji.

W rezultacie tedy hypoteza transformistyczna coraz więcej nabiera znamion przybliżonego, przynajmniej, wyrazu, prawdy. Dowieść jej według ścisłych zasad, niepodobna; po pod bezwzględną jednakże pewnością, jaką daje dowodzenie doświadczalne lub teoretyczne, istnieje owe prawdopodobieństwo bezgraniczne wzrastające, które zastępuje oczywistość, i które do niej zmierza, jako do granicy swej: takim jest właśnie prawdopodobieństwo ewolucjonizmu.

Jeżeli jednak idea ewolucji w nauce dzisiejszej niemal z dniem każdym nabiera podstaw niewzruszoności, to w sposobach pojmowania czynników ruchu rozwojowego w świecie organicznym zachodzi między uczonymi dość wyraźna, dość jaskrawa nawet chwiejność i rozbieżność poglądów.

Ujmując syntetycznie obszar zagadnienia, podzielić możemy panujące obecnie poglądy na mechanizm ewolucji, — na trzy kategorje.

Poglądy pierwszej kategorji (witalistyczne) domyślają się istnienia w materji żywej czynnika utajonego, działającego celowo, na wzór świadomości naszej.

Antytezę wobec nich stanowi druga grupa zapatrywań, przecząca istnieniu jakichkolwiek czynników o charakterze twórczym, kształtującym, i źródeł procesu rozwojowego dopatrująca się w ślepej igraszce trafu (darwinizm).

Trzeci wreszcie kierunek reprezentują neolamarckiści, opierający poglądy swe na unowocześnionej ostatnimi zdobyczami wiedzy doktrynie genjalnego Francuza. Kierunek ten streszcza się w zasadzie, że ewolucja biologiczna jest to skutek odziedziczalnych przystosowań indywidualnych poszczególnych osobników do środowiska, i że każde przystosowanie indywidualne jest wynikiem reakcji organizmu na bodźce świata zewnętrznego.

Prąd witalistyczny, oparty na pojęciu celowości, przesiąknięty wiarą w istnienie idei kierowniczej we wszechświecie, idei świadomej swych zadań i środków, zaliczony być może dziś, co najwyżej, do ryzykownych pomysłów metafizycznych; z powagą ścisłych probierzy naukowych ma on niewiele wspólnego. Natomiast, na arenie świata naukowego, walczą ze sobą

[1]) W. Mutermilch: krytyka teorji doboru naturalnego r. 1910. Warszawa.

współcześnie dwa pozostałe kierunki; darwinizm do chwili obecnej miał siłę przeważającą, ostatnio wszakże bardzo wiele nadziei na przyszłość rokuje neo-lamarckizm, przeciwstawiający darwinistom szereg bardzo poważnych zarzutów.

Broszura p. W. Mutermilcha daje ciekawy, acz szczupły rozmiarami, przyczynek do wyjaśnienia, a przynajmniej ogarnięcia głównych pozycji tego donioslego sporu.

„Opierając się na faktach zaobserwowanych w hodowli sztucznej, — pisze autor (str. 7) — wygłosił, jak wiadomo, Darwin domniemanie, że doskonalenie się świata ożywionego jest wynikiem doboru naturalnego, tym się od sztucznego odróżniającego, że rolę hodowcy wzięła tu na siebie *walka o byt*. Wistocie, teorja Darwina nie jest niczym innym, jak rozszerzeniem znanego prawa Malthus'a, głoszącego: że, gdy liczba ludzi na pewnej powierzchni wzrasta w stosunku geometrycznym, to ilość substancji, niezbędnej do ich wyżywienia zwiększa się jedynie w stosunku postępu arytmetycznego".

Nie da się zaprzeczyć, że idea walki o byt okazała się w mnóstwie wypadków nader użyteczną i płodną przy tłomaczeniu ewolucji biologicznej, naogół jednak zastrzec wypada, że rola jej znacznie jest szczuplejsza, niżli się to zazwyczaj w obozie darwinistów przyjmuje: idea owa bowiem posiada znaczenie wyłącznie i czysto *ujemne*: tłomaczy ona tylko, dlaczego ulega zagładzie wszystko, co do życia nie jest zdolne, ale bynajmniej nie wyjaśnia procesu powstawania w organiźmie cech dla życia podatnych i korzystnych.

Tymczasem „zasadniczy problemat ewolucji biologicznej tkwi, — jak słusznie powiada p. M. — nie w tym bynajmniej, jakim sposobem zostają utrwalane nabyte tą lub inną drogą cechy dla organizmu korzystne (a do tego wszak redukuje się w rezultacie darwinizm) lecz w tym, jaki jest sam mechanizm powstawania owych cech dodatnich, które w walce o byt okazać się mogą dla życia jednostki rozstrzygającymi". (str. 9)

Darwin, pragnąc zapomocą teorji doboru naturalnego wytłomaczyć przeobrażanie się gatunków, stopniowy ich rozwój, prowadzący od istot najprostszych aż do człowieka, przyjmował powstawanie w drodze samorzutnej zboczeń organizacji, mających charakter pożytecznych przystosowań do środowiska. Te przystosowania pożyteczne, powstawały jednak nie dlatego bynajmniej, że były ustrojom w danych warunkach potrzebne, jako skutek indywidualnych wysiłków zachowawczych, lecz przeważnie od warunków zewnętrznych całkiem niezależnie, bez żadnego z nimi związku przyczynowego; otóż ten brak węzła zależności przyczynowej między dwoma szeregami zjawisk, tak od siebie odmiennymi, a jednak wykazującymi tak wielki stopień harmonji i zgodności (organizm i środowisko), stanowi niczym nie dającą się zapełnić lukę w teorji Darwina i zmusza do odwołania się do szczęśliwego zbiegu okoliczności, do roli trafu.

Ta zasadnicza luka w teorji darwinizmu wynika z kompletnego pomijania przez nią własności oraz istoty samego podłoża życia. Wyjaśnienie mechanizmu, stwarzającego wszystkie cuda organizacji, nie jest możliwe bez dokładnego poznania procesów, zachodzących w łonie materji żywej. Tymczasem twierdzenia darwinizmu leżą poza obrębem właściwej wiedzy biologicznej; najzawilsze kwestje dotyczące budowy i czynności ustrojów, miast pobudzać umysły do zgłębienia ich natury, bywają rozstrzygane w sposób ryczałtowy; wszystko bowiem tłomaczy się wszechmocnym doborem naturalnym, który, nakształt zaklęcia magicznego, odsłaniać ma najgłębsze tajniki rozwoju.

Doskonalenie się jestestw organicznych, w oczach darwinisty, nie jest wynikiem koniecznym właściwości materji żywej, pozostającej pod działaniem świata zewnętrznego: ale i to jest najbardziej we wnioskowaniu niebezpieczne — te przyrodzone, głębokie i zasadnicze nawet własności, bez których samo istnienie materji żywej nie byłoby możliwe, są według niego, podobnie jak i doskonalenie się postępowe form życia, dziełem doboru naturalnego.

Stajemy tu wobec niepokonanej sprzeczności. Dobór naturalny, odbywający się między ustrojami żywymi, opierać się musi na właściwościach materji organicznej, lecz żadną miarą nie może być poczytany za ich przyczynę sprawczą.

Darwinizm tedy, przypisując czynnikom zewnętrznym rolę kierowniczą (jak widzieliśmy wyłącznie negatywną) w ewolucji, okazuje się doktryną niewystarczającą dla wytłomaczenia rozwoju postępowego istot ożywionych; nie umie on zdać nam sprawy z procesu powstawania coraz doskonalszych, coraz bardziej złożonych aparatów i funkcji śród wyższych gatunków zwierzęcych lub roślinnych. Tym mniej jest on zdolny wytłomaczyć tożsamość budowy w organach nadzwyczajnie złożonych, powstających, niezależnie od siebie, na rozbieżnych drogach ewolucji.

Wszelka zmiana, choćby najmniejsza, wynika ze współdziałania całego mnóstwa przyczyn drobnych, fizycznych oraz chemicznych. Narastanie zaś zmian przypadkowych w liczbie niezbędnej dla wytworzenia jakiejś budowy złożonej, wymaga współudziału nieograniczonej, rzec można, liczby przyczyn nieskończenie małych. Jakże więc wytłomaczyć sobie, że przyczyny te, czysto przypadkowe, występują, samorzutnie i w jednakowym porządku działania, w najrozmaitszych punktach czasu i przestrzeni? Nikt nam tej zagadki nie rozwiąże, i sami nawet darwiniści poprzestają, niewątpliwie, na twierdzeniu: że tężsame skutki wynikać mogą z przyczyn rozmaitych, że różne drogi prowadzą do tego samego miejsca.

Wszelako nie dajmy się uwieść przenośni.

Miejsce, do którego przybywamy nie streszcza w sobie kształtu drogi, którą odbyliśmy, by się doń dostać; gdy tymczasem budowa organiczna jest właśnie nagromadzeniem drobnych różnic, które ewolucja przejść musiała, aby do budowy tej dojść.

Walka o byt i dobór naturalny okazują się bezsilne dla rozwiązania tej części zagadnienia, ponieważ zajmujemy się tutaj nie tym, co uległo zagładzie, ale bierzemy pod uwagę to, co ocalało: na różnych, niezależnych od siebie, torach ewolucji zarysowały się tężsame kształty budowy w drodze nagromadzania skutków, narastających wzajem na siebie. Jakże przypuścić, aby przyczyny przypadkowe, występując do działania w porządku przypadkowym, zdołały powielekroć dojść do tego samego wyniku, zwłaszcza, że przyczyny te bywały nieskończenie liczne, a wynik nieskończenie złożony?

Zasadą mechanizmu jest, że „te same przyczyny powodują te same skutki". Z zasady tej, wprawdzie, nie zawsze wypływa wniosek, iż te same skutki pochodzą z tych samych przyczyn; wniosek taki atoli słuszny bywa w tym szczególnym wypadku, gdy przyczyny pozostają widoczne w skutku, wywoływanym przez się, i stają się jego pierwiastkami składowymi.

Niech dwu piechurów — powiada Bergson [1]) — wyszedłszy z różnych punktów i błądząc czas jakiś bez celu, spotka się wreszcie ze sobą w jakimś miejscu: nie będzie w tym nic nadzwyczajnego. Lecz, jeśli wędrując przez pola, zakreślać będą kręgi tężsame, dokładnie równe, zbieżność taka wyda się nam nieprawdopodobną. Nieprawdopodobieństwo będzie, zresztą, tym większe, im drogi przebyte, z jednej i drugiej strony, będą zawilsze. Stanie się zaś ono wprost niemożliwością, jeśli zygzaki chodu obu wędrowców dosięgną bezgranicznej złożoności. Ale cóż znaczy złożoność owych zygzaków wobec złożoności narządu, w którym spojone są w określonym porządku miljony

---

[1]) Evolution créatrice, 61.

różnych komórek, z których każda stanowi już pewnego rodzaju organizm?

Do szeregu zarzutów poprzednich, dotyczących zasady doboru naturalnego. wypadnie nam dołączyć jeszcze jeden, bynajmniej nie najlżejszy. „Idzie o to — pisze p. M. — czy istnieje jakakolwiek podstawa do twierdzenia, że pierwsze drobne zaczątki późniejszych organów mogły istotnie przynosić taką korzyść danym ustrojom, że posiadały znaczenie rozstrzygające w walce o byt?" Wielu bardzo środ uczonych daje na to odpowiedź przeczącą: organ, znajdujący się w fazie przekształcania, zdaniem G. Bohna, nietylko nie zapewnia osobnikowi żadnych korzyści, ale, przeciwnie, pociąga za sobą stan krytyczny, często bardzo długi, podczas którego dany osobnik staje w pozycji wyraźnej niższości w porównaniu z jednostkami, nie podlegającymi zmianie.

Każdy więc poszczególny wypadek, gdy idzie o zdobycie nowego przystosowania, stawia organizm przed bardzo trudnym zadaniem, od którego rozwiązania zależy dalszy byt jego; w każdym takim wypadku rozwiązanie może być tylko jedno: ustrój musi, przy pomocy jakiejś przemiany chemicznej, zareagować w sposób zupełnie swoisty, jak najściślej dostosowany do czynnika, przed którego zgubnym wpływem szuka obrony.

W istocie, wszystkie zarzuty powyższe, godząc w podstawy darwinizmu (darwinizm pojmujemy ciągle w znaczeniu ściślejszym, t. j. jako teorję doboru naturalnego i walki o byt, nie zaś jako ideę transformizmu wogóle) nie stanowią przeszkody dla poglądu, przypisującego powstanie zmian przystosowawczych nie przypadkowym odchyleniom od typu rodzicielskiego, lecz indywidualnemu i czynnemu przystosowaniu się ustrojów do warunków otoczenia.

Jednocześnie zaś pogląd ten zwraca uwagę naszą na tę, nie ulegającą wątpliwości okoliczność, że cechy morfologiczne są znamionami wtórnymi i pozostają w ścisłej zależności od składu chemicznego substancji, z której tkanki i narządy są zbudowane. Gdy więc jest mowa o zmienności ewolucyjnej świata organicznego, to w pierwszej linji uwaga nasza winna być zwrócona na chemizm wewnętrzny, jako na istotne podłoże tej zmienności.

W tym też kierunku, w stronę badań biochemicznych, doszukujących się zagadki życia i rozwoju w łonie bezgranicznie zawiłych procesów fizjologicznych komórki, idzie współczesna myśl naukowa, operująca na gruncie pojęcia ewolucji. Przystosowanie się do nowych warunków otoczenia usiłuje ona pojąć „jako wyzwalanie się z pod zgubnych wpływów tegoż otoczenia przez nabywanie urządzeń obronnych drogą stopniowego przyzwyczajania się; doskonalenie się ustrojów w ich ewolucji biologicznej — w świetle teorji tej—to nic innego. jak coraz doskonalsze wyzwalanie się materji żywej z pod ucisku otoczenia. zdobywanie coraz szerszego zakresu wolności". Zdążając w tym kierunku, myśl naukowa spotyka się w drodze swych dociekań z ogólnym prądem współczesnej myśli filozoficznej, wiążącej najściślejszymi węzły *teorję poznania* z *teorją życia*.

St. Romanowski.

LITERATURA i SZTUKA.

Człowiek—dziecię.

Nagle dziecko, przez ludzi w kącie zapomniane,
I pogrążone nocą w topiel snów zwodniczą,
Budzą marzeń rubinem chmury malowane
I dziki wrzask żywiołów, co za oknem ryczą.

Łoskot wichrów, łamiących pokorne konary,
Jego nerwów—zbyt czułych—jest wrzącym napojem,
Skulony w głębi łoża. jak ptak mały, szary,
Czuje, jak pot mu spływa z czoła cierpkim zdrojem.

Gęste wiry krwi jego płoną jak jeziora,
Czuje w błysku liljowym rąk bezsilnych ranę,
I patrzy dusza źrenic osłupiałych chora
Na piekielnych otchłani w chmurach dno miedziane.

Dziecię szepcze wargami bladymi: „O Panie!
Nigdy mamie nie powiem, żeś tak wielki szałem,
Tajemnicą nazawsze noc Zgrozy zostanie,
Od piorunów do rdzenia kości mych struchlałem.

Maczugą twoich grzmotów gruchoczesz krąg nieba...
Daj mi zasnąć, o Boże! Zmęczone źrenice...
Słyszałem już twe gromy... piorunów nie trzeba...
Ukaż w jasny poranek złotą okolicę.

Jutro siądę na łące — w Twych bławatów kole —
I w zwierciadło słoneczne patrząc na niebiosach,
Uczuję dłoń łagodną na samotnym czole
I źrenice, w najtkliwszych łez kąpane rosach.

Wieczorem ja i Cień mój na piasku klękniemy,
Pod księżycem — radośnie wygłosim Twe imię,
A potym wejdę, duchem płomienny a niemy,
W jasnowidzeń mych sennych pieczary olbrzymie".

Leon Choromański.

SERCA Z WŁÓCZKI.

Kobiece duchy smutne i łaskawe,
o, jakże więdną wśród mieszczańskich klatek!
Nad nimi łapy brutalne, choć łzawe —
praktycznych ojców i przykładnych matek.
„Świętem" się stają: dwukonka, łososie,
mózg glansowany i frak wielbiciela,
a sny dziewicze po „szczęśliwym losie"
szukają „szczęścia" i kart, co niedziela.
Jak strasznie, zwolna zamierają dusze
wśród tradycyjnych włóczek i gałganków!
Biedne, kobiece, słabe animusze,
bezwłasnowolne w rozdawaniu wianków.
Na swoją zgubę i prawie bez chęci
jesteście ciepłą opieką zastoju;
rzadko się tulą do was ludów święci,
bo w waszym gniazdku, ożywczego zdroju
dla dusz tęskniących niema ani cienia —
jest miejsce tylko dla masek szablonu.
A serce zwolna w szmatkę się zamienia
i wzrok nabiera szklistych błysków zgonu.

Rn.

KRYTYKA LITERACKA i ARTYSTYCZNA

W obronie codzienności.

(Odpowiedź p. St. Pieńkowskiemu.)

Wśród tragicznej grozy zachodzącego słońca, wśród głębokiej nocy, pełnej szmerów złowróżbnych walczącego o byt mrowiska, śpiewał już jeden z tych, którzy widzą i czują, pieśniarz z ludu, Kasprowicz, wyroczne hymny swoje. I świat, który patrzał na pracę minionych pokoleń, jako na łup do użycia, nazwał on „Ginącym Światem".

Że epoka starych wartości już się przeżyła, mówi nam o tym przedewszystkim wzmagająca się w opór straż reakcji — nazewnątrz, a w duchu — pilne nawroty ku starym śpichlerzom. Czegóż to się nie wywleka na światło dzienne? „Świętości, których nie wolno szargać" służą dziś jako kostjumy teatralne szponom łupieskim i tępej sytości śpiących.

Wyspiański powiedział dobitnie tym nalewającym stare wino w mocno wytarte, współczesne miechy giełdy, że „ostał im się jeno sznur".

Oto krakowska szopka, zaczarowana przez „słomiane wiechcie" tańczy do upadłego, na śmierć, głucha na młodzieńczo-bojowy okrzyk Wernyhory, zwiastujący — życie.

A wiecznie młode życie twórczej ludzkości, które cechuje się tym, że nigdy nie kościeje, woła przez nas, czujnych wartowników po wigiljach nocnych, głosem głębokiego, dumnego sumienia: „W obecności waszej, w obrębie panowania twórczej woli, o rycerze! rządzi się jeszcze stary smok niechlujstwa, przemocy i martwoty".

Albowiem czas rodzący się jest naszym ludzkim czynem.

Ta głęboka odpowiedzialność człowieka, która nie lęka się przełknąć „węża wstrętu", która wszystkim potworom ciemności kroku dostoi, ta właśnie odpowiedzialność jest jedyną cechą wzniosłości duszy współczesnej.

Jedynie w regjonach „czystej śmierci" zachować można dumę, odwróciwszy się tyłem do codzienności, w której każda chwila może być Pierwszym Dniem Stworzenia.

Życie codzienne (tak niesłusznie pogardzane) z wolą czy bez woli naszej wciąga bierne ręce w tryby dnia i nocy, i czyni z nas mimowolnych uczestników poza nami spełnianych zbrodni.

Przecież — to „codzienne" życie minionych epok daje dziś materjał „odświętny" uogólnienia i ono również skrystalizowało się w duszach artystów w harmonijne i poważne karnacje Sztuki.

Tragiczną i wzniosłą jest krwawa walka duchów o nowe formy potęgi czy tęsknoty, choć wylęknionym oczom zdawać się może brzydką.

A najwykwintniej pogodne są manekiny.

Nieulękłego spojrzenia uczył się Walgierz Wdały w podziemiach własnego zamku, a Sułkowski wśród przekupstw i chytrości Napoleońskich badał tworzenie potęgi.

Nieraz jednak załamuje się duch artysty męką wielką i przestaje wierzyć w zwycięstwo bohatera, ale nie rezygnuje.

Próbę mocy stawia czytelnikowi przed oczyma duszy i szepce: czy wytrwasz na straconej placówce?

Bohaterstwo takie znane było legjonom, walczącym „za naszą i waszą wolność" idącym wielekroć z zaciśniętymi zębami na niepotrzebne z pozoru wysługi, kiedy cel święty coraz bardziej zdawał się oddalać.

Uczyli się rycerze owi kamiennego milczenia, bo odczuwali nadludzką odpowiedzialność wobec musu wytrwania do końca.

Tak mówi Żeromski, a czytelnicy i współtwórcy w czytaniu nie widzą nigdzie narzucanych sztucznie tendencji, ale owszem czują w książce sprawę najistotniejszą i żegnają go przyjaźnie na krańcach starego globu, bo on jeden z niewielu, jako artysta, śmiał ich odprowadzić aż do niebezpiecznych rubieży.

* * *

Ale „my, Słowianie, lubimy sielanki... i t. d.", powiada jakiś literat w trzeciej części Dziadów.

Powtarzają się więc dawne czasy, bo wszystkie epoki w martwocie równe są sobie martwotą.

Niedawno jeszcze najbezmyślniejsza krytyka warszawska obrzuciła wymysłami rodzącą się sztukę ostatniego pokolenia.

Zarzucano „młodej sztuce" pesymizm i zwyrodnienie. Nic dziwnego: dobrze trawiące kołtuństwo mieszczańskie nie chciało popsuć sobie dobrego trawienia i wesołego światopoglądu.

„Codzienność" ma swoją hypostazę nawet w „niepowszednich" a górnych „natchnieniach".

Hypostazą bierności (czasem kryje się pod tym nieuczciwość) w życiu społecznym, codziennym jest idea synekury duchowej w świecie pozaludzkim.

Rozumiem pod tym „zastany", gotowy świat ducha, który — z różnych stron i przez kalejdoskop oglądany — daje złudzenie twórczości.

W p u s t c e b e z o p o r n e j d r a p e r j e u k ł a d a j ą s i ę s t y l o w o i h a r m o n i j n i e.

Jak tutaj, na „padole szarości", owija się sklepikarskie interesy w sztandary chwały minionej, tak samo na „szczytach idei" brak poczucia własnej odpowiedzialności za tworzące się życie dokolne otula się w płaszcz pogody heleńskiej i „śmiechem lwów ryczących„ zagłusza się w podziemne rozterki duszy. Bo unikać upiorów, to znaczy wlec je za sobą. Żeromski mógł im w oczy patrzeć, przeto „krzywe" miewał spojrzenia.

„Nie oczerniać życia!" — tak każe Zaratustra. Jakiego życia? bo Żeromski kocha i czci to wiecznie tworzące się, bezpowrotne, nie zatrzymujące się ani na chwilę — Życie. Życie pozostawia jednak za sobą skrzepy i musi ciągle zmagać się z tym, co wczoraj już zastygło.

Bohaterowie Żeromskiego nie porzucają swych stanowisk, bo tkwi w nich ukochanie życia ponad wszystko, kochają je jako dziecię własne, więc na modłę wiary chcą je pięknem uczynić. Inaczej rozumieć życie jest to tkwić albo w naiwnym (filozoficznie biorąc) światopoglądzie przyrodniczym, albo w zupełnie nie heleńskiej wierze w Opatrzność. Żeromski nie nauczył się, co prawda, śmiechu radośnie wierzących w zwycięztwo pomimo wszystko, ale czyż można się temu dziwić wobec osamotnienia twórcy w tak nieszczęśliwym środowisku, jak nasze?

Żeromski doprowadził nas do ostatnich straży, a dalej — poczyna się już pole walki i ciągłego Jutra.

Jan Rundbaken.

Włodzimierz Perzyński: **Michalik z P. P. S.** Warszawa 1910 nakł. Tow. Orgelbr. i S-ki.

P. Perzyński, jako poeta i nowelista, spogląda na świat, na ludzi, na samego siebie, z nieodłącznym uśmiechem dobrotliwego cynizmu na ustach. W spojrzeniu swym ma spokój pogodnej wzgardy zarówno dla cnoty, jak dla zbrodni.

Zresztą, cnota jest dlań tylko smutną pociechą niedołęztwa. „Kto niema szczęścia w grzechu, — po-

wiada on—ten zazwyczaj znajduje zadowolenie w cnocie". Ostatni utwór poświęca Perzyński odtworzeniu losów wykolejonych rozbitków rewolucji Rosyjskiej, wyrzuconych na bruk paryski. Wzajemna niechęć ku sobie, gorycz okropnych wspomnień, rozjątrzenie, głucha bezsilna zawziętość, nie mająca dróg ujścia — oto składniki moralnej atmosfery, w jakiej żyją i męczą się wytrąceni poza ramy ustroju społecznego — bojowcy. Otchłań cierpienia i nędzy zawarta w kilku biednych oszalałych czaszkach, które uniknęły kul karabinowych, aby runąć w przepaść zwyrodnienia. Utwór posiada wszelkie cechy bezpośredniej obserwacji i bezczelną szczerość dokumentu.

R.

Adolf Strzelecki: **Powieść polska** 1908/9. Warszawa. „Nowości Literackie" t. XXXVI.

Autor podjął się wdzięcznej roli przewodnika śród zjawisk literackich ostatniej doby. Oprowadza, wskazuje, przypomina, poleca uwadze; miast sądów indywidualnych, podaje opinje ogółu; miast ocen wartości, maluje skalę rozgłosu, sławy lub powodzenia, towarzyszącego tym lub owym dziełom. Stara się być bezstronny, oświetlając jaknajszersze powierzchnie fali twórczej, nie poddając się osobistym zainteresowaniom, omijając zarówno samotne szczyty uniesień, jak i mroczne wąwozy uprzedzeń subjektywnych. Dla każdego wybitnego pisarza autor ma wyrazy jeśli nie odczucia, to w każdym razie zrozumienia, usiłującego nawiązać między nim a duszą czytelnika pewne struny wspólnoty duchowej. Dziełko p. S. trafiając do szerokiej publiczności może odegrać rolę rozumowo zaopatrzonego w komentarz katalogu.

R.

NA DOBIE.

Szkodliwe synekury.

Akcjonarjusze kolei Warsz.-Wiedeńskiej wydają od lat wielu blisko pół setki tysięcy rubli rocznie na szkołę dla swych pracowników. Opłata w szkole oddawna była minimalna — dziesięć rubli rocznie, a i od tego wpisu zwalniano przeszło 25 proc uczniów. W ciągu swego kilkudziesięcioletniego istnienia szkoła dla wielu tysięcy dzieci licznych rzesz sympatycznych „kolejarzy" z pensją, zaczynającą się od dwustu, a rzadko dochodzącą do tysiąca rubli, była bodaj jedyną dostępną i pod tym względem rzeczywiście demokratyczną szkołą.

W ostatnich czasach ten charakter szkoły został zniszczony doszczętnie. Naczelnikiem został nie pedagog lub przynajmniej człowiek z pedagogiką obeznany, lecz inżenier dobrze ustosunkowany i z dobrymi plecami. Gdy okazało się, że jest niezdatnym do żadnej odpowiedzialnej pracy kolejowej, zrobiono go pomocnikiem naczelnika jednego z tych niepotrzebnych wydziałów, do których zwykle przenoszono ludzi, z którymi nie wiedziano co począć, a których usunąć nie było można. Dla zabicia czasu członkom tych wydziałów, zwanych podobno popularnie „wydziałami kontroli wagonów sypialnych", powierzano różne czynności nieszkodliwe dla interesów kolei.

W ten sposób przyszły „naczelnik" szkoły „opiekował" się praktykantami, którzy ukończyli szkołę kolejową i wykładał w szkole — bez powodzenia — rysunki, arytmetykę.

I oto — najniespodziewaniej przed kilkoma laty został „naczelnikiem" szkoły z pensją, jakiej niema ani jeden dyrektor w całym Królestwie.

Zresztą nie chodzi nam w tej chwili o potępienie synekury — jest to przedewszystkim rzecz, dotycząca akcjonarjuszów, ale w interesie publicznym musimy zwrócić uwagę na gospodarkę pana „naczelnika" i szkodę, jaką szkole przynosi. Niech p. naczelnik pobiera pensję choć ministerjalną byle nie kosztem najbiedniejszych. Przed nominacją pan „naczelnik" obiecywał uczniom i rodzicom złote góry. Kiedy zaś został „naczelnikiem" szkoły, przedewszystkim wyjednał podniesienie wpisu z 10 na 30 rb.; zamiast nauczycieli z wyższym wykształceniem zaczął przyjmować nauczycieli początkowych, jako uleglejszych. W programie szkoły wprowadził chaos, tak, że kończący szkołę nie będzie mógł przedewszystkim iść wyżej (a to podobno w myśl polecenia jednego z naczelników kolejowych, by nie budzić „aspiracji" w dzieciach „niższej" służby), a z drugiej strony nie będzie umiał nawet tyle, żeby mógł starać się o posadę w handlu lub przemyśle. Kolej podobno zupełnie ma nie przyjmować uczniów tej szkoły nawet na posady biurowe. Szkoła się wyludnia. W ostatnim roku pomimo przyjmowania i dzieci nie pracowników kolejowych, liczba uczniów spadła tak, że w niektórych klasach jest zaledwie 23 zamiast 50!

Opłata wpisu jest wymagana za cały rok z góry, by jeszcze bardziej utrudnić naukę biedniejszym. Rodzice zaniepokojeni chcieli zwołać zebranie rodzicielskie; władze policyjne dały pozwolenie, ale pan „naczelnik" wyjednał zakaz od Zarządu.

Stosunki te wymagają sanacji. Wpisy dawne należy przywrócić; szkoła otrzyma wówczas od sześciuset uczniów 6,000, zamiast od 300 — 9,000, różnicę zaś kilku tysięcy można zaoszczędzić na obcięciu synekury p. „naczelnika" szkoły i innych synekur w szkole istniejących w rodzaju tysiąca kilkuset rubli pensji „kustosza", skasowanego i usuniętego na strych Muzeum szkolnego...

Szkole należy nadać charakter wyraźny—przemysłowo-handlowy, a gdyby to było niemożliwym, nadać jej charakter przygotowawczy do takich szkół, jak techniczna Piotrowskiego lub szkoła Wawelberga, skąd młodzież wychodzi z fachem w ręku. Skasowawszy dwie wyższe klasy i niektóre synekury szkolne, można by łatwo znaleźć dostateczny fundusz na opłacenie wpisów w szkole Piotrowskiego lub Wawelberga za kilkudziesięciu synów pracowników kolejowych, pana „naczelnika" zaś przenieść do jakiego wydziału, gdzie będzie nieszkodliwym nietylko dla interesów kolei, ale i dla interesów młodzieży.

L.

Mobilizacja antypostępowa.

Od pewnego czasu trwa na skrajnej lewicy zgiełk wojenny i groźne potrząsanie bronią; można by mniemać, że oto ustrój „burżuazyjny" dogorywa, że nadeszły ostatnie dni jego żywota. Złudzenie: furja naszych nieprzejednańców omija węgły „ustroju", mierząc wyłącznie acz bezpłodnie, w „obóz postępu polskiego". Co chwila wraca ktoś na szpalty *Młota* czy *Społeczeństwa* radosny, zziajany, ochrypły i zapewnia że „obóz postępu polskiego leży w gruzach"... Z ubocza patrząc, można pomyśleć, że to nikt inny, jeno my, postępowcy, opieramy się jeszcze przekształeniu świata, który bez tego wyglądałby zupełnie, ale to zupełnie inaczej... No, ale skoro „leżymy w gruzach", pogromieni sławną maczugą p. Warskiego, tedy nic już nie stoi na przeszkodzie, by na „gruzach" postępu polskiego zakwitła Róża... prawdziwego marksizmu.

W mobilizacji antypostępowej, gdy krajowe siły nie dopisały, sięgnięto po obce zaciągi: więc *Młot* sprowadził Jaurès'a i Bebla, a *Społeczeństwo* zadawala się sukursem p. Grossera. Zauważmy w nawiasie, że o ile Jaurès odbijał rażąco od szpalt *Młota*, o tyle Bebel czuje się tam, jak u siebie w domu. Nigdy nie wątpiliśmy zresztą, że istnieje rzewny, familijny zwią-

zek pomiędzy berlińską macierzą, a dziecięciem umiłowanym, acz trochę niesfornym. W tej bitwie narodów, pod parciem tak różnoplemiennej koalicji, postęp polski nietylko że nie legł w gruzy, mimo pośpiesznej zapowiedzi *Młota*, ale nawet nie zwróciłna nią uwagi. Znaczy to, że chcemy być wybredni w doborze swoich przeciwników.

Koalicja wytacza przeciw nam dwa pryncypalne zarzuty. Pierwszy zarzut brzmi: postęp polski zaprzepaścił swoje hasła, przejął się duchem antysemickim, *ergo* — jest reakcją, i odtąd też jako reakcję traktować go należy.

Drugi zarzut opiewa: postęp polski zdradził elementarne zasady postępowe, wykrywszy swego „śmiertelnego wroga" w osobie „lewicy społecznej". Organ tejże lewicy — *Społeczeństwo* — w przenośniach nie berdzo biegły, woła stylem biblijnym: „Hańba się lęże! Zjednoczenie Postępowe było tą wieżą (?), z której wnętrza (!) wyszła grupa osób na pobojowisko, aby przeszukać kieszenie poległych lewicowców". Podpisano: Henryk Lukrec. Może p Lukrec zna lepiej od nas „elementarne zasady postępowe", ale to pewna, że nie wpojono weń elementarnych zasad przyzwoitości. Być może zresztą, że je postradał, obcując z ludźmi, święcie przekonanymi, że kto pragnie doskonałego na ziemi ustroju, ten musi wziąć rozbrat z dobrym wychowaniem. Taki to jest wpływ *Społeczeństwa*, które *volens nolens* musi zetrzeć się w końcu z „wrogiem śmiertelnym" w postaci *Młota*, ale zanim to uczyni, stara się wprzód wyczerpać wszelkie formy *młotyzmu*.

Sądzimy, że sposób argumentacji p. Lukreca zwalnia nas od dłuższych wyjaśnień, dlaczego nie uznaliśmy za wskazane i możliwe wszcząć rzeczowej dyskusji z ludźmi, którzy do tego jeszcze nie dorośli. Wątpić zresztą należy, czy ten moment kiedykolwiek nastąpi. Ci bowiem panowie są tak nawskroś przeżarci nałogiem demagogji wiecowej, że drapując się w togi rzymskich augurów, patrzą na siebie .. bez śmiechu.

Aby natomiast pobudzić do śmiechu ogół inteligencji polskiej, uczynimy tu pokaz epizodyczny prądów czarnosecinnych i wstecznych, nurtujących już nietylko partję socjal demokratyczną w Galicji, ale co gorsza, francuskich socjalistów „zjednoczonych", których autorytetytem nakrył niedawno p. Truskier szpetną swoją nagość.

„Precz z żydami!"

Jakoż tak złożyły się okoliczności, że w tym samym czasie, kiedy „lewica społeczna" tu nad Wisłą, rzuciła *cherem* na głowy pewnej części opinji postępowej za nieżyczliwe dla żydów stanowisko — tam, nad Sekwaną, w Izbie deputowanych, padła z ław socjalistycznych apostrofa, która widnieje powyżej w nagłówku.

A bas les Juifs! huczało na skrajnej lewicy. Miotając się i pieniąc, towarzysze Jana Jaurès'a wygrażali pięściami p. Reinachowi za to, że bronił zarządzeń Brianda podczas strajku kolejowego... Ten błahy powód wystarczył, aby na „lewicy społecznej" „ujawniono pierwiastki reakcyjne" „zdradzono elementarne zasady postępowe" „zaprzepaszczono hasła postępowe" według pełnej wdzięku terminologji naszych nieprzejednańców.

Teraz my z kolei mamy prawo zawołać: hańba!— „hańba się lęże" w obozie socjalistycznym! A przecież p. Reinach bynajmniej nie krzyknął: *Precz z Francją!* ani nie napisał, że *Francja jest trupem*. Ot, poprostu wypowiedział opinję lojalną, którą tego dnia dzielił z nim każdy przeciętny obywatel, olbrzymia większość kraju, z wyjątkiem skrajnej lewicy, jak o tym świadczy *votum* zaufania.

Francuscy socjaliści zjednoczeni popełnili istotnie grubiaństwo, którego nic usprawiedliwić nie może. Ujawnione tam „pierwiastki reakcyjne" świadczą, że coś psuje się nie na żarty w państwie... socjalistycznym.

Działo się to bowiem w kraju, gdzie żydzi są w liczbie bardzo nieznacznej, gdzie stopili się już dawno w jedną całość narodową i kulturalną z ludnością rdzenną, są dzielnymi synami Francji, umieją ją kochać, umieją przyczyniać się do jej wielkości. Zwymyślany przez nich Józef Reinach należy do rodziny chlubnie znanej na polu naukowym, jest b. oficerem, sztabu, człowiekiem wybitnym o dużych zasługach obywatelskich. A wreszcie — Francja jest wolną, bogatą i potężną, a więc stać ją na bezgraniczną tolerancję. Tak by się przynajmniej zdawało... Tymczasem w Polsce, w tej Polsce, zbiedzonej, nieszczęsnej, zewsząd zagrożonej, gdzie zupełnie naturalnie rozdrażnienie wybucha wobec miljonowej masy „krajowych cudzoziemców", masy obcej, a częściowo nam wrogiej — nigdy nie przybiera ono takich form!i takich rozmiarów, jakie przybrałoby niechybnie we Francji, gdyby ją *na jedną chwilę* postawić w naszych warunkach... Tak jest: w naszych warunkach.

Postawa socjalistów francuskich d. 29 paźdź. daje dostateczny przedsmak nastrojów antysemickich, jakie by wówczas wybuchły, ogarniając naród od góry do dołu...

I niech mówią co chcą sykofanci: Polska była zawsze i jest dotąd krajem *najmniej na świecie żydożerczym*, a najbardziej na pokusy antysemickie wystawionym. Jest nim dotąd.

Ale gdy, mimo to, skrajna lewica bieży po sukurs do Berlina i Paryża, aby pohańbić rzekomy antysemityzm w Polsce — musimy ten *głupi nietakt* należycie wytknąć i napiętnować.

Jeszcze bardziej nalewo.

„Lewica społeczna" nie przestając nas ani na chwilę napastować, wystąpiła świeżo z dziwną zaiste pretensją za to, że na szykany i oszczerstwa, zamiast uprzejmym uśmiechem, odpowiedzieliśmy *słowami prawdy*.

Nie dość na tym. *Społeczeństwo* napiera się, jak dziecko kapryśne, żeby *Prawda* przysięgła, iż postęp polski nie ma na lewicy wrogów. Uspokój się, maleństwo. *Prawda* nie może powiedzieć, że ma po lewicy samych „najserdeczniejszych, bo ci „najserdeczniejsi" przez długie bardzo lata ujawniali wyłącznie wrogie ku nam uczucia.

Natomiast powie *Prawda* coś, co dla niejednego będzie niespodzianką. Powie, że „lewica społeczna" ma na swym krańcu wrogów śmiertelnych, nieubłaganych, którzy dotkliwie i nieraz namacalnie dają jej uczuć swą niechęć i odrazę do „mieszczańskiej, wstrętnej reakcji", jaką właśnie w ich oczach „lewica społeczna" uosabia...

To nie są żarty. Bo oto w Paryżu, d. 29 października, w tym samym czasie, kiedy w parlamencie socjaliści wołali: *A bas les Juifs!* — przy ul. Dantona, w gmachu Tow. Naukowych, rozegrały się sceny burzliwe, a bardzo znamienne.

Był wieczór ku czci Ferrera. Na prezydjum zasiedli pospołu wybitni socjaliści i wolni myśliciele. Tysiączna ciżba tłoczyła się na sali. Wiec zapowiadał się wspaniale. Ale gdy pierwsze słowo padło z ust mówcy, na galerji zerwała się burza świstów i wrzasków. Niech żyje anarchja! — wołano — precz z parlamentaryzmem! do wody zdrajców!

Jakoż byli to *anarchiści* — tłum katylinarnych postaci, dla których socjalizm jest poprostu „reakcją mieszczańską" i zupełnym „zaprzepaszczeniem haseł postępowych", a już napewno „hańbą, co się lęże" w obozie proletarjackim... Słowem, zachowywano się tak, jakby na sali było ze dwie sotnie abonentów *Młota*... Obchód ku czci Ferrera skończył się na tym, że zagrzani odrazą do „lewicy społecznej" anarchiści po-

tłukli lampy, połamali meble i wyparli publiczność na ulicę, zabrawszy uprzednio sporo okryć z garderoby...

Wnioski płyną stąd następujące: jednaki nasz los, jednakie przeznaczenie, panowie z „lewicy społecznej"... Gnieżdżą się ot, na lewym naszym krańcu, zespoły niesforne, wrzaskliwe, niedojrzałe, nawskroś apolityczne, do niczego niezdolne, a pełne olbrzymich uroszczeń. Nieuleczalna histerja i demagogja na nic niepamiętna stanęła na czele, zbrojna zjadliwą bronią wiecowych inwektyw, krzywdzących podejrzeń, oskarżeń z lekkim sercem miotanych i — wyroków doraźnych.

Dla was ten wróg — to anarchizm.

Dla nas — wy sami, którzy go w tym kraju zastępujecie z wielkim powodzeniem.

* * *

Na przyszłość niechaj „lewica społeczna", miast wyrzucać nam nasz „antysemityzm" i niechęć naszą do bezkrytycznego szlusowania na lewo — zajmie się oto czynnie rugowaniem nastrojów antysemickich z własnego obozu, i niechaj własnym stanowiskiem wobec anarchizmu wykaże, że nigdy, w żadnym wypadku nie trzeba mieć na lewicy wrogów. Czekamy.

Na zgubnej pochyłości.

Ruch Marjawicki, w pierwszych chwilach jego poczęcia, pojmowano i sądzono u nas rozmaicie. Nawet w granicach jednego i tego samego obozu odzywały się głosy sprzeczne co do wartości moralnej i społecznej nowej sekty. Jedni widzieli w niej spóźnione podjęcia haseł reformacji, drudzy odbicie współczesnych prądów modernizacji katolicyzmu, inni z uznaniem witali nawrót ku tradycjom narodowym, urzeczywistniony w postaci mszy polskiej, jeszcze inni sprowadzali genezę ruchu do mętnych źródeł obcej i wrogiej nam propagandy. Rzecz prosta, iż dla powzięcia orjentacji uzasadnionej wobec nowego zjawiska, należało poczekać, aż Marjawityzm, ze stanowiska obrony i opozycji, przejdzie do roli pozytywnej i twórczej w życiu. My, ze swej strony, pragnęliśmy nadejścia chwili tej jaknajgoręcej. W przeświadczeniu że wolność i jawność działania, zostającego pod kontrolą opinji publicznej, najlepszym bywa sprawdzianem jego wartości społecznej, żądaliśmy jaknajszerzej pojętych praw tolerancji dla powstającej grupy wierzeniowej, stanowczo i bezwzględnie piętnując wszelkie zwrócone przeciwko niej napaści fanatyków kościelnych. Walcząc o wolność powszechną przekonań, wyznawanych szczerze i głęboko, żądaliśmy od ogółu poszanowania dla idej szczupłej garstki ludzi z obcego nam świata, acz idee ich wydawały nam się grubym zabobonem, a ich niezłomność i wiara — uporem dzikiej ciemnoty.

Wszelako sądziliśmy i sądzimy nadal, iż przesądy leczy się promieniami oświaty, a upór fanatyzmu — wyrozumiałością i współczuciem.

Atoli, występując w obronie biednej prześladowanej sekty z pobudek wyłącznie ideowych i humanitarnych, nie mogliśmy oprzeć się nadziei, że Marjawici, zawdzięczając powstanie i rozrost szerzonego przez się kultu zasadom tolerancji, ukochają jej ideał, jako rękojmię swego bytu, wcielą go do skarbnicy najdroższych swych świętości, i w swej maleńkiej gminie staną się rozsadnikami szczytnych zadatków przyszłej kultury wolnościowej.

Rzeczywistość zadała brutalnie kłam naszym nadziejom. Kronika sądowa ostatnich dni jęła notować wystąpienia księży marjawickich na drogę sądową z odwołaniem się do ramienia świeckiego, celem pozyskania dla dogmatów ich wiary sankcji przymusu państwowego. Apostołów drobnej sekty skusiły haniebne laury katolicyzmu, oświecającego dzieje swe łunami stosów heretyckich! Dziś stosy zagasły raz na zawsze, więc fanatycy, w ich zastępstwie, odwołują się do 74-go artykułu w kodeksie karnym. Arcybiskup Warszawski usiłował zmiażdżyć nim Alexego Kurcjusza. Biskup Kujawsko-Kaliski próbował tymże artykułem unicestwić Andrzeja Niemojewskiego. Obaj dostojnicy kościelni, pragnąc zdławić światło postępu, nie wahali się obarczyć pamięci swej — hańbą denuncjacji; płomień miłości ewangelicznej osłonili szańcem bagnetów, a cześć dla religji postanowili obwarować groźbami Sybiru. Obecnie do poziomu ks. ks. Zdzitowieckich upadł ksiądz marjawicki Apolinary Skrzypiciel z Gniazdowa. Wystąpił on do sądu z inkryminacją „bluźnierstwa" przeciwko ks. Zmarzlikowi, proboszczowi parafji Koziegłowy. Jest-li to wybryk osobisty, czy też zapoczątkowanie stałego systemu?

Jeżeli pierwsza alternatywa jest słuszna to ks. Skrzypiciel winien ulec natychmiastowemu skarceniu przez ogół swych kolegów, jako niebezpieczny fanatyk i barbarzyńca; jeśli zaś — wtóra, to stanęlibyśmy wobec wymownego przykładu, jak groźnie mści się tradycja katolicyzmu na tych, którzy na jego pniu zbutwiałym usiłują szczepić rózgi odrodzenia.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* Opinja postępowa dowiodła niejednokrotnie, że nikomu ubiec się nie da w trosce o interesy narodowe i dobro kultury polskiej. I właśnie dlatego dziś pierwsza uderza na alarm, skoro wyszło na jaw, że grupa p. Dmowskiego pragnie walkę, narzuconą społeczeństwu polskiemu przez agresywny nacjonalizm żydowski, przenieść na grunt represji i ograniczeń prawnych,

Nasze stanowisko — uzasadnione w artykule czołowym tego numeru — sprzeciwia się wręcz tym deprawującym metodom. Sprzeciwia im się honor imienia polskiego, wreszcie — interes narodowy polski, sprzęgnięty raz na zawsze ze sprawą wolności i postępu. Poucza o tem akolytów p. Dmowskiego *Kurjer Poranny* w art. *O prawa żydów*, temi słowy:

> Każdy argument, jaki przytoczyć moglibyśmy za ograniczeniem praw wyborczych ludności żydowskiej, trafiłby tym samym zatrutym ostrzem w nasze stanowisko obywatelskie, jeżeli już nie w Królestwie Polskim, to na Rusi i na Litwie. Okoliczność, że ograniczające żydów postanowienia projektu rządowego praktycznie wyjść mogą na naszą korzyść, tym silniej powinna nas skłaniać do oddalenia od siebie wszelkich podejrzeń, że na te postanowienia w czymkolwiek wpływaliśmy i że tak mało ufamy własnej narodowej sile rozwoju i obrony, że jedynie pod opiekuńczymi skrzydłami najczarniejszej reakcji rosyjskiej możemy liczyć na zapewnienie krajowi naszemu charakteru polskiego w samorządnej gospodarce. Gdyby tak było istotnie, byłoby to najbardziej upokarzające przyznanie się, rezygnacja wprost samobójcza z wysiłków narodowej energji. Na sztucznych pozorach polskości zdanych na łaskę administracji państwowej nie może nam w niczym zależeć w naszym życiu samorządnym — gdyby tylko o nie chodziło, należałoby się raczej zrzec wszelkich dążeń do samorządu. Daleko więcej korzyści narodowej, daleko więcej treści, daleko więcej zadatków rozwojowych na przyszłość miałoby nawet mozolne dobijanie się w naszych miastaczkach do głosu i znaczenia polskich kulturalnych mniejszości wobec pogrążonych w ciemnocie większości żydowskich. Tylko tępy doktrynezym polityki doraźnych korzyści, polityki bez jutra, może tego nie pojmować i zaczynać budowę pracy społecznej od stawiania altanek samorządnych, kleconych z bibułki pozorów, kiedy iść winno o mozolne stawianie trwałego gmachu cegła za cegłą na gruncie niewzruszonych podstaw.

Brońmy najenergiczniej, najbezwzględniej polskości przed każdym, ktoby ją chciał skazić czy stłumić. Ale brońmy jej współczesną, nowożytną bronią na pewnym mocnym boisku podstaw, dostarczonych przez zdobycze współczesnej kultury i wytworzonych przez nowożytne pojęcia demokratyczne, humanitarne i praworządne. A przedewszystkim brońmy jej sami — bez cudzej a złowrogiej pomocy.

* „Kiedy czytam karty historji żydowskiej — pisze p. Leo Belmont w ost. numerze *Wolnego Słowa*— wydaje mi się zawsze, że widzę naród, który *zwarjował* z przestrachu u stóp ziejącej ogniem góry Synajskiej — a potem przechodził w dziejach już tylko różne stadja obłąkania... I oto, jak w ogromnych zarysach uogólniających przedstawia mi się pod tym kątem widzenia *tragikomedja historji żydowskiej.*

W napadzie *furji Jehowistycznej* z pustyni wpada Izrael do Chanaanu i ręką dzikiego koczownika wycina mnóstwo ludów w pień, urażony, że czcili inne bogi — że rzeźbili z kamienia posągi, które ubogiej wyobraźni koczowników nic nie mówiły! Kulturalniejszym od siebie ludom zabiera uprawione przez nich role i winnice, burzy ich miasta, kradnie ich dziewice, morduje żony, tępi nawet bydło, jako zakażone grzechem pogaństwa... Sam przecie wciąż popada w pogaństwo i w pijanym szale tańczy wokół złotego cielca, ulanego tchórzliwymi rękoma najwyższego swego kapłana, brata narodowego wodza, Mojżesza, który skazywał na śmierć żydowskich miłośników Moabitanek i Madjanitanek, ale sam brał sobie za żonę Murzynkę. Rzekomo wierzy Izrael w duchowego Boga i pisze zakazy przeciw rytym jego obrazom, obwarowane wyrokami śmierci, przecie w Samarji Izraelskiej, już po zbudowaniu świątyni Salomonowej w Jeruzalemie, konkurując z Judą, stawia posąg egipskiego cielca, zwie go Jehową i sto lat wybija przed nim hołdownicze pokłony.

Ciągłe wzajemne mordy bratnich ludów Judy i Izraela, wyszłych z jednego łona Racheli i z jednych lędźwi Jakubowych — wyrzynanie się wzajemne chciwych i zazdrosnych o wpływy i dziesięciny kapłanów lewickich, czczących kolejno w świątyni Salomona, co parę lat, to Jehowę, to Baala — stopnie tronów Jerozolimy i Samarji, zbryzgane krwią mnóstwa królobójstw i zadeptane krwawymi stopami wojskowych intrygantów, wydzierających sobie korony — pisk duszonych na ofiarę Panu gołębi i okropny ryk wołów, zarzynanych w przybytku Dawidowym na cześć „Duchowego Boga", (jeszcze w lat 70 po Chrystusie!) — a na tym czarno czerwonym tle rozpusta możnych książąt i haniebny ucisk ludu, wyzyskiwanego bez litości przez bogaczy i kapłanów — oto *akt I historji żydowskiej.*

Nabuchodonozor nakłada furjatom kaftan bezpieczeństwa! Srożą się jeszcze prorocy — cudowni szaleńcy, próbujący leczyć spodlone wierzchołki społeczne i tępe tłumy — każący bez skutku przeciw rozpuście, zepsuciu, wyzyskowi, ofiarom z bydła, obłudzie i kłamstwu, przypominający ludowi wiarę w Jehowę, zapomnianą w ciągu całych wieków — sami nazbyt dotknięci chorobą wizji mistycznych, aby mogli być szczęśliwymi lekarzami innych — nigdy aż po dzień dzisiejszy *niezrozumiani* przez swój naród, który zawsze w trwodze przesądnej czcił tylko literę swoich praw... — to są motywy dalsze...

Niezrozumiani! bo u kresu niewoli babilońskiej następuje „uspokojenie"... a raczej metamorfoza choroby. Furjat — Jehowista, przerażony wizjami proroków, grożących karą Jehowy na nieposłusznych — zmienia się *w cichego warjata—Jehowistę*, czciciela litery zakonu, zajętego bezpłodną djalektyką i śmiesznymi komentarzami spleśniałych traktatów pięcioksięgu Mojżesza... 100, 1000, 10,000 komentarzy jednego naiwnego przepisu fałszywej hygjeny Mojżeszowej, tej religji lęku przed zarazą, podejrzywaną przez błąd obserwacji i błąd logiki wszędzie — oto akt II.

Powrót z Ezdraszem do Palestyny za pozwoleniem perskiego Cyrusa i natychmiastowe wygnanie żon, wziętych w niewoli, i wypędzenie na zatratę dzieci, zrodzonych z „obcych" żon — otwiera nową serję choroby: *idjotyzm Jehowistyczno-faryzejski*, majaki „czystości" formalnej śród brudu fizycznego, obłudne i tępe *bałwochwalstwo litery*, uwieńczone nowym atutem furji za dni Herodowych, przekładającej złodziejów Barabaszów nad apostołów, mówiących o „obrzezaniu w duchu" przeciw obrzezaniu na ciele i o braterstwie z innymi ludami przeciw egoizmowi rzekomych „wybrańców Boga".. Wreszcie mądry Rzym stawia zwycięską stopę na tej bogobojnej tępocie, ktora przez nie wolniczą miłość dla groźnego Jehowy nie broniła się w soboty przed wrogami — i traciła w jednym dniu świątecznym owoce bohaterskiej obrony stolicy wszystkich lat powszednich... Rozgrom świątyni — jako zasłużona kara dla zidjociałych świętoszków — oto akt III!

W IV akcie ujrzymy znowu *ciche obłąkanie talmudyczne ghetta*: — w Palestynie, Arabji, Afryce, wzajemne wyklinania się talmudystów na znieważonej mogile Majmonidesa, już widzącego przebłysk światła rozumu, acz jeszcze lgnącego do zaśniedziałych przepisów prastarej hygieny Mojżesza — w Hiszpanji bohaterskie wstępowanie na stosy za prawo koszerowania mięsa! — w Niemczech ataki nowej furji rabinow Aszerydów, wyklinających wiedzę świecką, jako grzech gojów pogańskich — w Holandji, w rzekomo najoświeceńszej gminie żydowskiej, sztylety fanatyków, grożące genjalnemu Spinozie i „cherem" rzucony na głowę Acosty, deptanego na progach synagogi za jego zamiar wyzwolenia żydów z obłędu i doprowadzonego do samobójstwa — we Włoszech duszenie myśli druha Danta, Immanuela Romi i wygnańca Bedaresi — w Konstantynopolu w najbogatszych kolonjach żydowskich, kodyfikacja potworności rabinicznych w Szulhan-Aruchu, kodekcie Cara, wymawiającego jednym tchem w dziwnym sąsiedztwie imię Adonaja i słowo „wychodek" — wreszcie pielgrzymki żydowskie z całej Europy do Turcji, do stóp oszusta, rzekomego Mesjasza, Sabathai Cewi, i obłędne tańce mistyków tuż pod oknami jego wygodnego więzienia — wreszcie w Polsce rozkołysane w śpiewie procesje hasydów naokół wesołego ascety Beszta.

Akt V — godny następca tamtych wlecze się po przez obelgi motłochu nad grobem wielkiego Salomona Majmona i po przez nienawistne wymysły na Mendelshona, iż śmiał przekładać biblję na język niemiecki, i po przez brzęk szyb, wybijanej w pierwszej reformowanej synagodze przy ulicy Daniłowiczowskiej w Warszawie — wlecze się aż do dnia dzisiejszego — z jego klątwami cadyków na kobiety, noszące krótkie rękawy przy koszulach, z jego obrzędem obrzezywania trupów małoletnich i z jego nowożytnym obłędem nacjonalistyczno—sjońskim i reakcją fanatyzmu chasydzkiego, modlącą się o pomoc do reakcji politycznej. A nad tym wszystkim brzęk szekielów, wyciskanych z nędzarzy — na procent dla faktorów sjonizmu i na kupno w nieskończenie odległym czasie ojczyzny z licytacji tureckiej. Prastary idjotyczny szał chaldejki paradujący w nowiutkich łachmanach żargonowych z „wyszarzanego w ghetto szwabskiego djalektu"!

Mówią, że historja jest mistrzynią narodów. Cóżkiedy z jej nauk nie wszyscy ciągną korzyści. Są narody, które, rzec można, zatykają sobie uszy i oczy, by srogiej mistrzyni nie słyszeć i nie widzieć. Takimi są żydzi, takimi są, poczęści, i Polacy. Bowiem tamtej *furji Jehowistycznej* dziejopis polski, gdyby miał polot orli i serce czujące, przeciwstawić by mógł nasz *obłęd rzymsko-katolicki*, który prowadził naród polski od jednej klęski do drugiej — począwszy od niedokonanej, ze względu na herezję Hussa, unji polsko-czeskiej w w. XV poprzez fatalne wojny prozelickie z Moskwą, Szwedami, Turcją i Kozaczczyzną, aż do rozbioru Polski, w którym oo. Jezuici maczali długie ręce...

* *Nowy Sztandar* organ demokracji chrześcijańskiej, sądzi dość krytycznie zapał ekspjacyjny zakonników na Jasnej Górze:

Nie słychać o tym, by miał z funduszów paulińskich, z pensji, czy przyszłych dochodów duchownych stanąć ekspiacyjny np. dom ludowy, gospoda chrześcijańska dla pielgrzymów, której brak tak się daje uczuć w Częstochowie,

nie słychać, by projektowano jaką reformę w ofiarach kościelnych, dających możność kontrolowania takowych, a uwalniających raz na zawsze kapłanów od ubliżających podejrzeń

Nie odezwał się ani jeden głos kapłański, wzywający do realnego dowodu żalu za grzechy towarzysza, czy to w postaci kościoła, szpitala, czy przytułku — a przecież ta wielka rodzina duchowna odpowiada za swoich.

A przecie krzywdę wyrządzoną narodowi naprawić trzeba nietylko modłami do Boga, ale czynami dla ludzi.

Nowy Sztandar zapomniał widocznie o starodawnym przysłowiu, które głosi: „szlachta krwią, mieszczaństwo pieniędzmi, a duchowieństwo tylko modłami ojczyźnie służyć może". I służy...

KRONIKA.

B. KOMITET JUBILEUSZU AL. SWIĘTOCHOWSKIEGO nadesłał następującą notatkę z prośbą o jej umieszczenie.

Na posiedzeniu w dn. 27 października, Komitet jubileuszu Swiętochowskiego postanowił sumę rb. 4587 kop. 15, powstałą z ofiar na szkołę rolniczą imienia Świętochowskiego przekazać Tow-u Kultury Polskiej do rozporządzenia Aleksandra Świętochowskiego.

Po powzięciu tej uchwały Komitet rozwiązał się.

Z dniem 1 Stycznia 1911 rozpocznie się wydawnictwo miesięcznika pod tytułem *Biblioteka Rolnicza* w formie książki. — Wydawcą będzie Wiktoryn Jan Zieliński Redaktorem p: Stefan Biedrzycki.

Cena roczna 4 rb. 50 kop. z przesyłką 5 rb.

TOW. KURSÓW NAUKOWYCH po miesięcznej przeszło zwłoce, która wynikła z powodów nic wspólnego z nauką nie mających i od organizatorów niezależnych, zdołało usunąć wszelkie nieprzewidziane przeszkody i w piątek ubiegły d. 4 b. m. rozpoczęło swój spóźniony, tym razem wyjątkowo, rok wykładowy. Zapisy w dalszym ciągu przyjmuje oraz informacji udziela kancelarja Kursów Naukowych przy ul. Włodzimierskiej Nr. 3/5, w gmachu Stow. Techników.

PISMA KONOPNICKIEJ. Rada miasta Krakowa po wysłuchaniu wniosku petycji do sejmu galicyjskiego w sprawie wydania kosztem kraju w edycji popularnej pism Marji Konopnickiej, rzeczoną petycję uchwaliła i zawotowała na owo wydawnictwo subwencję z funduszów miejskich w kwocie 1000 koron.

Książki nadesłane do Redakcji:

Żyżkowski Stanisław. Nędza. Studjum powieściowe. 8-ka, str. 249. Warszawa, 1910. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. rb. 1,20.

Asley Pescy M. A. Zarząd centralny i lokalny w Anglji Francji, Prusiech i Stanach Zjednoczonych Studjum porównawnawcze. Napisał.. Lincoln cellege, Oxford, prof. szkoły nauk politycznych i ekonomicznych w uniw. londyńskim. Tłumaczył za zezwoleniem autora Jerzy Gościcki. 8-ka. str. IX + 321. Lwów, 1910 Nakł. Tow. wydawniczego. Warszawa, E. Wende i Sp. Kijów, L. Idzikowski, rb. 2.

Laskowski K. (El). Litwaki. Powieść spółczesna. 8-ka, str. 125. Warszawa, 1911. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. kop. 80.

Lemański Jan. Baśń o prawdzie. Nowy zbiór piosnek, bajek, poematów, baśni satyrycznych, melodji i pieśni. 8 ka, str. 261. Warszawa, 1910. Nakł. Tow Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. rb. 1,80.

Olechowski Gustaw. Rzeczy widziane. Nowele, opowiadania, humoreski, paradoksy. 8-ka, str. 211. Warszawa, 1911, Nakł. Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. rb. 1,20.

Orkan Władysław. W Roztokach. Powieść. 2 tomy. Wydanie II. 8-ka, t. I str. 228, t. II str. 242. Lwów, 1910. Nakł. Tow. wydawn. Warszawa, E. Wendo i Sp. Kijów, L. Idzikowski. rubli 2.

Perzyński Włodzimierz. Michalik z P. P. S. Powieść. 8-ka, str. 180. Warszawa, 1910. Nakł. Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów Skład główny w księg. E. Wende i Sp rb. 1.

Sfinks. Miesięcznik Literacko-Artystyczny i Naukowy pod redakcją Władysława Bukowińskiego. Rok III. Tom XII. Zeszyty 34. (Treść zeszytu: A Gawińskiego „Marjan Wawrzeniecki". R. Radziwiłowicza „Wiliams James". A. Strzeleckiego „Powieść polska 1909—1910". J. Kaczkowskiego „Johannes Schlaf". Rysunki i winiety M. Wawrzenieckiego. Wiersze, przeglądy, sprawozdania). Warszawa, 1910. Stron 160. Cena rb. 1.

Henryk Cederbaum. Adwokatura w Królestwie Polskim. Luzne kartki. (Treść: Rola adwokata. Walka o prawo i prawdę. Stosunek do sądu, stron i kolegów. Krasomówstwo. Etyka zawodowa. Organizacje adwokatury. Rozwój adwokatury). Warszawa, 1911. Skład główny u Gebethn. i Wolffa. Kraków. G. Gebethner i S-ka. Stron 85. Cena 50 kop.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ:

Wydawca: Józef Jabłoński. **Redaktor: Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.